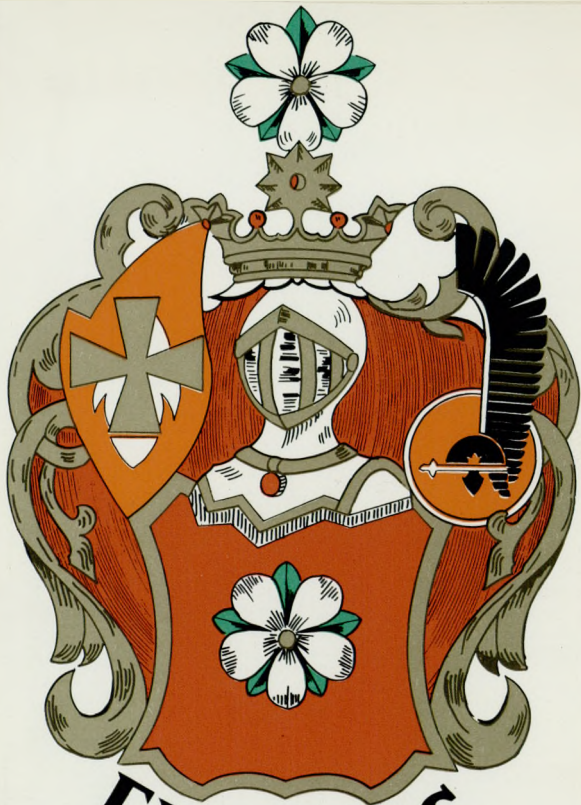


Loda & Edward Rozanski Collection



EX LIBRIS
LODA and EDWARD C. ROZANSKI

OSTATNI!!...

JAN ŚWIERK



★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★
LODA-EDWARD
BOZANSKI
COLLECTION
98597 ★ ★

ERIE, PA.
Drukiem B. Weinera,
432 ó. 13-ta Ulica.

ok. 1930



OSTATNI!!...

Nie ten, który ostatni przyszedł do obozu polskich powstańców.....

Nie ten, który ostatni podniósł dłoń w górę, ażeby zaprotestować wobec krzywd....

Nie ten, który ostatni zbudził duszę swą z uśpienia i serce z obojętności....

Lecz ten ostatni, który trwał w walce wtedy, gdy już inni broń wypuścili z omdlałych dłoni.

Lecz ten ostatni, który nie ugiął czoła przed mocą carskich żołdatów....

Lecz ten ostatni, który pozostał sam w głębi lasów podlaskich i szeptał drżącymi ustami:

— Za wolność braci!....

A oto cisza wokoło głucha.

Bór senny rozbudza się wiosennem

tchnieniem i z lękiem pyta jasności słońca:

— Żali krwią znowu będziemy mieć konary drzew skrapiane i jękiem sieczonych będziemy nasze liście kołysali?

Lecz słońce goi smutek boru.

— Jest to już wiosna roku 1865.... i już się walka bezbronnych z uzbrojonymi skończyła.... już po lasach widety nie stoją, już tu ognisk nie palą, już niema komu walczyć, bo na sybirskie stepy wywieziono tysiące, a po więzieniach jęczą jeszcze tysiące, a tysiące już śpią w mogiłach....

— Więc wszystko skończone? — pyta bór budzący się wiosennym oddechem.... broń złamana, obozy rozbite, obrońców niema?....

— Został się jeden — ostatni!....

— Ostatni! jeden!....

I z gałęzi na gałąź leci szept cichy, drżący, wpół senny, wpół łzawy.... * podaje wieść coraz dalej, coraz szybciej, aż

niby pieśnią żalną gra bór rozległy i
każdego listka pączek powtarza:

— Ostatni !

— — — — —
Od ciemnej ściany boru jako echem
daleko słyszanem idzie szept po łąkach
świeżo oranych, po łąkach poczynają-
cych się zielenić....

— Jakaż dla nas wiosna będzie? —
pytają niwy podlaskie, spowite w mgieł
welony. Mamyż znów patrzeć, jak wy-
biegać będą z chat niskich pacholeta
młode ażeby iść bez powrotu i walczyć
bez zwycięstwa?... Dwie wiosny już
wschodziły nad nami w krwi kurzawie i
w dymów osłonie, czyliż i teraz wszędzie
to samo?

— Car zwycięstwem pisze datę roku
1865 — już powstanie, poczęte 23 stycz-
nia 1863 r., zdeptane.... odpowiada słoń-
ce i rzuca promień złoty na mogiłę widną
wśród pól.

— Zwycięstwem pisze car.... — powtarzają pola orane — niema już powtańców?

— Został się jeden — ostatni

— Ostatni!.... jeden!....

A szept ten cichy jak wąż sunie się ścieżynkami miedz jeszcze nierozziewionionych i dzwoni wieścią do serc tych, co idą z chat na nowe posiewy chleba i łąz....

— O słońce...., szepce osiwiwały gospodarz...., jakoże możesz chodzić takie jasne i promienne nad tą ziemią, gdzie tu nic jeno żałoba, ból i smutek!! Jakoże możesz wzywać skowronki do śpiewu, owady do lotu, kwiaty do rozkwitu, gdy ziemia cała, niby jeden grób.... wielki, czarny grób?....

— Porachujże słońce złociste wielu we wsi brakuje, wielu zasieczono nahajkami, wielu tratowano końmi, wleczono

na Sybir.... a jak porachujesz, tak zasłoń się łzami i płacz, płacz razem z nami....

Lecz słońce idzie w promieniach jasności i wypija łzy drżące na licu starca.

— Nie rozpaczaj — mówi całując zbolełe skronie, — zwyciężeni dziś możecie zwyciężyć jutro....jako pozostał ten jeden, ostatni co broni nie rzucił, tak zostaje nowa fala ludu, nowe siły się zbudzą....

— Został jeszcze jeden—znam go....

— A tak, ty podlaski ludu znasz go, bo to twój syn — ostatni powstaniec....

Ksiądz Stanisław Brzózka przediera się przez gąszcze.

Zna już tu prawie każde drzewo, umie przejść przez bór ciemny, jak przez wioskę rodzinną dawniej biegał, gdy w koszulinie, bose pacholę na szerokie błonie z gromadką pastusząt rwało się

do pieśni i bajek, do swobody i wesela.

Ksiądz Brzózka przez gąszcz idzie zwolna. Na umówione miejsce mają mu przynieść z Sypitek nieco pożywienia.

Wiedzą po wsiach okolicznych o tem, iż ksiądz w borze się ukrywa, ale nie zdradzi nikt.

Przynoszą mu odzież, chleb, nabiał, nawet owoce przechowane znajdą się.

Teraz przed Wielkanocą dostarczą mu pożywienia i znowu żyć będzie wśród drzew i krzewów sam jeden, niby człek-ptak, orzeł, duch, który się ująć w więzy nie dał, a z drogi obranej nie cofnął.

— Już wszystko skończone, — mówiły mu wieści od ludzi przynoszone. — już na tułactwo po obcych krajach poszły procesye pielgrzymów, a ty jeszcze trzymasz broń u nogi i jeszcze się poddać nie chcesz?

— Komu mam się poddać? — pyta wtedy ostatni powstaniec.

— Tej sile, której poddali się Pad-

lewscy, Sierosławscy, Trauguci, Żulińscy i inni.

— Kłamstwo niesiesz na swoich skrzydłach — odpowiada wieści ksiądz Brzózka. Nie poddali się oni sile, lecz ona ich ujarzmiła i pod swoje bezprawie rzuciła. I ja się nie poddam. Sta-
nąłem raz jako obrońca i wytrwam do końca.

— Ty jesteś ostatni!..—szepce wieść jedna, lecąca od strony Warszawy. — Już niema nikogo, już pęta rozsnute od krańca w kraniec — tylko została żałoba jako ocean bezbrzeżna, po sercach się przelewa i łyzy pije....

— Ty jesteś ostatni!.... —głuchym szmerem mówi noc wiosenna.. Przelecia-
łam nad waszych lasów cmentarzyskami — nigdzie ogniska powstańców — nigdzie głosu komendy — nigdzie błysku broni....

Ksiądz Brzózka oparł się o drzewo, ręce opuścił bezwładnie.

Zda mu się, że nic już nie obaczy przed sobą, jak tylko zwątpienia straszne widziało.

O tam! z za pnia omszonego wypełza ku niemu gad z olbrzymią głową.. śmieje się szyderczo i podsuwa bliżej..

— Ty ostatni! — ryczy zwątpienie.

— Przyjdą nowi i będą pierwsi — odpowiada ksiądz Brzózka.

A gad wije się u stóp i sycząc, wymawia słowo po słowie, jak gdyby wpijał ostre szpilki w ciało.

— Murawiew kościoły zamyka, nikt już do obrony nie staje — Nazimow siecze różgami, nikt mu wstrzymać kary nie odważy się— Borejsza policzkuje osiwiatych ludzi, a nikt mu plugawej ręki nie spęta — Maniukin każe stać żonie powstańca pod szubienicą i patrzeć, jak się wrogi pastwią nad ofiarą, a nikt nie powie: precz kacie!..

Ksiądz Brzózka wije się w bólu męczarni..

— I ty jesteś ostatni, a po tobie któż będzie stać z podniesioną ręką?

Zwątpienie podnosi obrzydłą paszczę wyżej.

Już oddechem swoim blisko serca ostatniego powstańca..

Już sięga ust....

Jedno tchnienie, a zaraza padnie w krew....

Ostatni zwątpi....

Lecz oto odgłos fujarki pastuszej.

To umówiony znak, Franek wraca z Sypitek szlacheckich.

— Precz! precz trucicielu nadziei i męstwa, jeżeli lud sprawą wolności się przejmuje, Maniukiny, Nazimowy i Borejsze padną....

— Jesteś ostatni — syczy gad depantany nogą powstańca.

— Jam z ludu i za mną lud..

Franek przypadł zdyszany.

— We wsi powiadają ze niebezpiecznie.

— Mają jakie ślady?

— Już cztery razy były rewizye. U ojca, w kuźni szukali, grozili, mówili, że w Sybir pójdzie za syna.

— A ojciec?

— Jeno rzekli to samo dziś, co przed rokiem: Kiedyś zrozumiał co niewola, to idź i walcz.

— Poczciwy, zacny kowal.

— Tu przyodziewa i chleb.. a wiosna taka po polach idzie, aż radość bije dookoła.... Księżę Naczelniku, żebyście wiedzieli, jak te chaty we wsi miłe, gdy człek z lasu wróci, gdybyście wiedzieli, jaka to między ludźmi żywość a szczerść prawdziwa, zdaje się, niby inne życie.

Ksiądz Brzózka spojrział na chłopaka, a kładąc rękę na jasnej głowie powiada ze smutnym uśmiechem:

— Wróćże dziecko do wsi, wróć!..

Może nie pochwyca, może nie wezmą pod sąd, może już zaprzestaną karać, wszak uważają powstanie za ukończone.

Lecz Franek, prostując się dziarsko, odpowie:

— Albo wrócę z wami, Księżę Naczelniku, albo z wami zostanę.

— Rodzina, chata, wieś, gwar ludzi, życie, wesele..

— I kaci naokoło.. — mruknie chłopiec.

— A tak! Są kaci dookoła i męczyć będą dalej, aż nowi przyjdą obrońce i nowe siły podniosą się z chat.

Poczęli iść w głąb boru.

Słońce wzniosło się w górę. Rzuciło snopy promieni na czoła kilku powstańców, kryjących się na Podlasiu wtedy, kiedy już raporty wszystkich generałów i naczelników słały do Petersburga radosne wieści, iż "buntownicy" wyniszczeni, powstanie ukończone, spokój już zupełny..

Tylko z Podlasia naczelnik raportu tryumfującego przesłać nie mógł, bo w jego powiecie istniał jeszcze jeden powstaniec — ostatni..

Wieleż to rot kozackich wysyłano na obławę! Wieleż to rubli przeznaczano na nagrodę za wyśpiegowanie! Wieleż to nadziei uśmiechało się do “kresta” przeznaczonego w nagrodę temu, kto przyprowadzi partyzanta Brzózkę, księdza z Łukowa, lecz wszystko to było daremne.

Oto są w gąszczy boru i wrócić do wsi nie chcą.

— Tak rzekłem ojcu, kiedy mię doprowadzał nocą pod drogę leśną — czyż mogę wrócić? Jakoże was Księżę Naczelniku zostawić już bez nikogo, a mnie iść po to, ażeby się przed Moskalami kłaniać i prosić o przebaczenie za wielkie winy, za to, że ich nienawidziłem i — nienawidzić będę?

—Obrońcami byliśmy, tacy nie wracają się wstecz.

— A we wsi modlą się o wasze wytrwanie.

— Oby i oni wytrwali w męce bólu.

— A we wsi trwoga i żalność wszystkich przejmuję, gdy usłyszą tentent kozackich koni, bo już spodziewają się nieszczęścia.

— I u progu kościoła byłeś?

— Płakałem, tłumiwszy głos.

— I dzieci Wojciecha widziałeś?

— Rozmawiałem z niemi. Wyniosły mi oto te kwiaty, zebrane z łąki.

— Dzieci mego brata.

— I słyszałem o wysyłce w Sybir. Przed tygodniem jeszcze pędzono 260-ciu

— Nie są to jeszcze ostatni.

— Krzyż co stał pod lipami także obalili, skopali i zrąbali.

Coraz cichsze głosy i coraz dalsze echa.... W gąszczy boru znikli dwaj ostatni powstańcy podlascy.

Na progu ubogiej chaty litewskiej gromadka dzieci tuli się do starej Brzókowej.

— Opowiadaj babuniu, opowiadaj, jaki to był Staś Brzózka, co jeno szukał książki i czytania, a krzywdy nikomu nie uczynił.

Babunia gładzi główki wnucząt i raz uśmiechając się do wspomień, to znów płacząc w tęsknicy żalu, opowiada długo i długo.

— W takowej samej koszulce grubej i lnianej chadzał, jako i wy chodzicie, takowe miał białe włosy, jako i wy macie i tak samo na tym progu chaty siadywał, jako i wy siadacie, a pytał raz po raz: Matulu! wszystko w książkach napisano, jak ludzie żyli i jako bywało na ziemi?

— Wszystko napisano, jeno my czytać nie umiemy, u nas nie uczą. Hen daleko po miastach są szkoły, czytają, piszą, wszystko poznają.

— To ja pójdę do miasta, do szkoły i poznam wszystko, a potem do was wrócę na wieś i uczyć będę.

— Biedaku ty, biedaku z chłopskiej chaty, ubogich rodziców synu, gdzie tam tobie do nauki w mieście, gdzie ci tam do szkoły po mądrości. Gąsięta będziesz pasał, potem z bydłem cię wygnamy, aź podrośniesz, do pługa i cepa staniesz.

— Ale Staś składa ręczęta i prosi, serdecznie prosi: nie braniajcie mi do nauki, nie braniajcie mi do szkoły.

Pachołęta słuchają opowiadania jak o królewiczu zaklętym, o skarbie zakopanym. Dziw to, dziw ogromny, że w tej samej chacie żył Staś, co się uczył, na książce umiał, do dalekiego miasta do szkoły pojechał i...

A babunia znów gawędę snuje jak z srebrnego wrzeciona niteczkę jasną.

— Gdzie, od kogo on książkę dostał, to już nie wiadomo, ale jeno nad literami siedzi i siedzi, a składa słowa poma-

luśku, ostróżnie, wyraźnie. Jak to czytanie pojął, tak zdawało się, jakby kto złotym kluczem wrota jakieś otworzył i dziwy, dziwy, skarby i skarby ludziom rozdawał. Czego my nie słyszeli, nie wiedzieli, to on nam wszystko przekładał i czytał. Jako i całą Biblię świętą nam przełożył i całe życie Pana Jezusa, jako o słońcu i ziemi wytłumaczył, a o tem, co nieszczęście niesie po Polsce, rozumiał.

— Nieszczęście po Polsce niesie?

— Co to? powiedz babuniu.

— Wam to jeszcze teraz nie rozumieć, boście jeszcze za małe, ale choć rzeknę, powtórzyć nikomu nie możecie.

— Nie powiemy.

— Niekomu..

Chylą się główki jasnowłose do babki.

— Moskal! — szepce starowina.

— O Jezu!

— Cicho!.. nie powtórz..

— Nieszczęście niesie.. po Polsce..

— A Polska to co?

— A ta ziemia święta, rodzona, co ją Bóg dał..

Między dziećmi rozsnuwa się pajęczyna nic lęku i trwogi.

Jedno wsuwa się w ciaśniejszy kącik i ogląda, czyli nie zbliża się to, co niesie nieszczęście całej Polsce.

Drugie chwytą babunię za szary rańtuch i zda mu się, że jest bezpieczniejsze.

— Tak poszedł Staś do szkoły na naukę. Biedował i biedował, bo u nas grosza nie było, ledwo żeśmy przyodziewę dali. Na same żniwa wracał do nas, ale blady był i zmęczony.

— Pytamy się go, co cię tak utrudzi? Ani to za pługiem chodzisz, ani to z kosą na łanie nie stoisz. Ale on tłumaczy nam wyraźnie, że nie tylko ci pracują ciężko, co orzą i koszą, bo są tacy, co orzą nie dla siebie, ale dla całej Oj-

czynny i sieją nie ziarno na chleb, ale ziarno na sprawiedliwość i szczęście.

— Jakie to ziarno babuniu na sprawiedliwość i szczęście.

— Boskie słowo, moje dzieci! Boskie słowo! Kto nauczy się tak żyć, jak uczył Pan Jezus, ten nikomu krzywdy nie przyczyni, ani za to źdźbło trawy, ani za to piórko ptaszyny, co je w locie zgubi.. Tak i nasz Staś, jako że podrósł, bo mu szło na 20 rok, zapisał się do Seminarjum na księdza.

— A daleka ta szkoła?

— Nie najdalej, w Janowie takowa szkoła, co uczą na księży. Przyjechał już do nas w czarnej sukni, a bieluśki był na licu jako anioł, a słodki był w słowie i w życiu, jako nie ziemski człek. Przeżyła ja radości i szczęścia wiele. Każdy dla mnie, bom jeno sobie o tym Stasiu wspomniała, a już wesela mam w sercu pełniusieńko.

— Zazdrościli mi ludzie. Wypytywali ciągle, czy nie żałuję, że syna w chatcie nie mam. Byli tacy, co przepowiadali: Zapomni o was, do wsi nie wróci, wstydzić się chłopskiego stanu będzie. Ale to wszystko nadarmo. Dziecko już od razu było janielskie i ja się już o jego serce nie trapiła. Miał wtedy 25 roków, kiedy święcenie wziął i przyjechał już księdzem do nas.

— O Jezu! Jezu!

— Z tej tu chaty na księdza wyszedł..

— Jak stanął w progu, tak ja rzekę: Synu mój! Ręce twoje będę całowała, bom niegodna matka.. Zaś on mnie do nóg i woła: Pobłogosław matko, a żebym siał ziarno na sprawiedliwość i szczęście..

Babunia łzy ocierała fartuchem....

Dzieci tulą się jak pod skrzydła..

Jakaś jasność zdaje się rozwija swój

welon nad progiem rodzinnej chaty księdza Brzózki.

Babcia jeszcze raz powtarza:

— Na sprawiedliwość i szczęście!..

Wtem tętent koni i brzęk pałaszy..

Chmara kozaków przed wrotami..
jeden z nich wpada na próg.

— Gdzie syn twój?

Babunia podniosła się, drżąc cała.

Dzieci z jękiem kryją się w fałdy fartucha.

— Gdzie buntowszczyk, ostatni buntowszczyk?

— Tu nie ma.

— Ale ty wiesz gdzie.

— Nie wiem.

— Dać 50 nahajów, wyśpiewa.



Napróżno dzieci wyciągały drobne swe rączęta, ażeby babunię zatrzymać — napróżno wołały krzykiem serce rozdierającym — napróżno najmłodsze w wro-

tach do nóg babki się rzuciło, prosząc, by została.

— Gdzie syn twój? — woła starszy kozak.

— Tak długo siec będziemy różgami, aż wyśpiewa prawdę.

Na progu chaty płaczą dziecięta osieroczone.

Ojciec wracający z pola zastaje gromadkę powtarzającą jedno i to samo:

— Wzięli babunię- babunię wzięli!

— Kto wziął,

— Moskale!

— Kozacy!

Brzózka Wojciech załamał ręce.

— Nieszczęśliwa matko! Nieszczęśliwa matko!

A chór ptaków ukrytych, wśród konarów, powtarzał echem żałościem:

—Matko! Matko!

Tołmazow, porucznik moskiewski,

nasłuchawszy się wiele o partyzancie, księdzu Brzózce, powiada:

— Czort jemu!.. muszę go złapać. Co to jest? Jak to być może, żeby my, carscy żołnierze, nie dali rady temu księdzu. Naznaczona nagroda, naznaczony chrest i nikt tego nie bierze.

Lecz inny, doświadczony żołnierz, rzecze:

— On ma czary, jego nikt nie chwyci.

— Co to czary? Ja także będę miał czary, jak wezmę kilka sotni kozaków, to czary zrobimy i tego ostatniego złapiemy.

Jedzie porucznik Tołmazow do Warszawy i powiada:

— Dajcie rozkaz, pójdę z ludźmi na Brzózkę.

— Nie dasz rady.

— Chodzili i wracali z niczem..

— Ma czary i chowa się tak, że go nikt nie znajdzie....

— Chodził sławny poszukiwacz, szczywany lis, a darmo.

— Kto chodził?

— Pułkownik Lankizow.

— Co mówicie: on sam?

— On sam, pułkownik kozaków kubańskich, chodził z żołnierzami, chodził w Łukowskie lasy, już wiedział dobrze, gdzie on się kryje, wiedział, ile ma ludzi przy sobie, a i nie znalazł go.

— Czekaście! pójdę sam do pułkownika Lankizowa i wypytam, jak to było.

Pułkownika ucieszyło to, iż znalazł się zuch, który chce Brózkę złapać, ale nie miał on też wiele nadziei, czyli się uda sprawa.

— Poruczniku Tołmazowie, z tym powstańcem historia nie łatwa. Od pierwszego dnia powstania, jak stanął do walki, tak do dziś nie ustąpił. Rozbiliśmy mu 10 oddziałów, on jedenasty zebrał i znowu do walki stanął.

— **Harda dusza!**

— **Myślałby kto, że z bohaterskiego rodu, jaki z hetmańskiej krwi, z tych Polaków, co to niby lwy walczyli, a to poruczniku Tołmazowie syn chłopski, z kurnej chaty litewskiej, toć i na bohatera wyrósł — widzicie na bohatera!**

— **Ja się z nim rozprawię! Jej Bohu! albo mnie, albo jemu koniec...**

— **Nagroda będzie wspaniała, tylko się sprawcie poruczniku Tołmazowie...**

— **Raz koniec być musi! Już my nie takich bohaterów powieszali i postrzelali, a jemu byśmy rady nie dali?... Co to może być?... Musi się poddać.**

Pan pułkownik Lankizow chodzi po pokoju niecierpliwy i gniewny. Brzózkę złapać trzeba, bo już koniec być musi, ale ażeby to znowu porucznik Tołmazow miał otrzymać nagrodę i chrest, to żal... i szkoda.

— **On ma czary i koniec — to wiedźcie poruczniku Tołmazowie... ucieknie**

wam tak, jak uciekł mnie... słuchajcie...

Pułkownik siada wygodnie i zaczyna opowiadanie.

— W październiku tamtego roku dali mi znać, że Brzózka z swoimi powstańcami obozuje na błotach Jackich. Znacie te strony, wiecie jakie błota, moczary, trzęsawiska. Tam, powiadają, jest w głębi lasu wyspa dookoła wodami otoczona i na tej wyspie Brzózka obóz ma, ludzi zbiera, żywność mu przynoszą. Jak raz na to słyszemy — napadli na żołdaków, odebrali im broń. Tam znów wpadli na oddział, 9 zabili, 6 zranili, zabrali konie. Mieliśmy swoich, co dobrze wszystko podpatrywali i o wszystkim donosili, więc drogę pokazali. Idziemy na tego Brzózkę jak na 100 armat. Dookoła błot Jackich stanęliśmy, posuwamy się zwolna i ostrożnie. Ptak by nie przeleciał, ażebyśmy go nie ujrzeli, zajęć drobina by nie przemknął, ażebyśmy nie słyszeli jego ruchu... Idziemy dzień, dwa,

cztery, pięć.... coraz ciasnieje koło, coraz bliżej sądat koło sądata. Już, już, zdaje się, jak na gniazdo kurcząt najdziemy w jednej chwili i schwytamy i podusimy te harde, odporne serca.... aż kiedy do samej wyspy przyszedliśmy poruczniku Tołmazowie — wiecie co? wiecie?....

Porucznik szyję naciągał, uszy nastawił, czeka, co usłyszy.... a pan pułkownik zrywa się nagle, pluje, klnie i woła:

— Tylko ognisko się tliło przygaszone i tylko sądackie dwie strzelby leżały jak na urągowisko!.... Nikogo! Nikogo!.... A że byli, toż znak widoczny....

— Czort jemu!....

— Czary ma! którądy uszedł, nikt niemógł zrozumieć.... Wróciliśmy z niczem. Od tej pory, od października, już trzy razy szła wyprawa, nikt Brzózki nie znajdzie.

Porucznik Tołmazow przyrzeka, że znajdzie. Prosi o wyznaczenie mu wię-

cej żołnierzy i o pieniądze na opłacanie szpiegów.

— Ja znajdę takich, co za pieniądze wyszukają Brzózkę. Ostatni powstaniec musi wisieć na szubienicy, jak wisiało tyłu tak samo.

Ksiądz Brzózka kończył swe wieczorne pacierze, gdy z za krzaków wysunął się stary Mateusz.

— Pochwalony!

— Na wieki! Witajcie bracie!

— Kilka ważnych słów muszę powiedzieć, czasu niema wiele na długie rozmowy, trzeba wam Księżę Naczelniku zaraz stąd uchodzić.... zaraz....

— Czy znowu wyprawa?....

— Cały marzec Lankizów jak szalony uganiał po lasach i teraz znów ciągnie z kozakami. Chodźcie Księżę Naczelniku do wsi.

— Nie mogę! w żaden sposób nie mogę!

— Kiedy my was tak ukryjemy, że nikt nie dojrzy, a bezpieczniejsi będziecie niż w tych lasach.... chodźcie księżu, prosimy....

— Nie mogę bracie! Wiem, żeście dla mnie wszyscy życzliwi, wiem, że jakoby rodzonego brata kochacie mnie i radziłyście uratować od zemsty wrogów, ale do wsi nie mogę pójść. Czy to nie wiecie, coby was i całą wieś czekało, gdyby się Moskale dowiedzieli, że powstańca schroniliście?....

— Nie dowiedzą się! We wsi nikt nie zdradzi, choćby na najgorsze męki brano, nie zdradzi nikt, a schowamy tak, iż nie znajdą. Tu gorzej, tu tyle wojska prowadzą, ile drzew w lesie, jakże się ukryjecie?

Jeden z powstańców zbliżył się.

— Księżu naczelniku!.... dajcie się ubłagać, jeżeli poczciwy lud obiecuje

schronienie, idźcie, godzi się wam już raz pod strzechą skłonić tę biedną, zmęczoną głowę.

— Nie o moje umęczenie chodzi, lecz właśnie o to, ażeby zmylić wrogów, gdy spodziewają się, że w lesie, ażeby był we wsi, — odpowiada ksiądz Brzózka — ale mi żal tych chat, co popalą, i żal tego ludu, któremu każą karę płacić.

Mateusz stary prosi i tłumaczy:

— Bezpieczniej będzie wam i nam, powiadam, jeno spieszcie, noc ciemna i cicha, łatwiej się przewinać, bo słyhać każdy szelest zdaleka, oni ciągną tu od północy, mówił mi Grześ z Olchowska, wpadł zdyszany i pomknął, ażeby powiadomić w Krzokwi....

— Więc niepodobna tu zostać?

— Księżę! Ojczy!.... radzimy z serca szczerzego, póki czas, idźmy....

Ksiądz Brzózka jeszcze pyta:

— A wasze chaty? spalą!....

— Niech spalą, cierpieliście wy nie mało, przecierpimy i my....

— Niech się stanie jak radzicie.

— Chodźcie Księżę Naczelniku.

I Mateusz stary na zwiady wysuwa się powoli krok za krokiem, ostrożnie, jak żóraw na czatach stojący.

Wiosenna cicha noc kołysze do snu pola i łąki....

Wszystko w przyrodzie pragnie spoczynku i wytchnienia. I drobne źdźbło trawy, niejeden raz przez dzień stopą ludzką zdeptane, podczas cichego snu nocy bliznę swą goi. I drobna muszka, uchodząca w dzień przed dziobem żarłocznego ptaka, w śnie ciszy spoczynek skrzydełkom daje. A temu ostatniemu powstańcowi na Podlasiu chwila ciszy nocnej spoczynku nie przyniesie. Trzeba mu stać wiecznie na czatach i nadśłuchiwać.

— Pst!.... cicho!.... stać.... — sze-

pce Mateusz, schyla się, pełza i daje znak, że iść można....

Ksiądz Brzózka przesuwa się wśród miedz krok za krokiem.

Jakiś szelest od wierzby....

Jakiś szmer od tej miedzy na prawo....

Cicho!....

Znowu przypadają biedni ludzie jako płazy do ziemi — oddech tłumią, życie na chwilę zda się wstrzymują, jak nędzne, najuboższe robaki pełzają wśród traw rosą zwilżonych, wśród grud ziemi rozoranej....

Cóż oni winni, iż kryć się muszą niby zbrodniarze?

Dlaczegoż nie wolno im iść wśród ciszy nocy, pomiędzy pól sennych zagonami, jako iść mogą prawi dziedzice ojczystej niwy, jako ci, którzy nie splamili duszy żadną zbrodnią i kryć się nie mają powodu?....

Oto szelest nieznacznym — coś błysło z oddali...

— Na ziemię i oddech tłumić!...
— szepce stary Mateusz...

Ostatni obrońca wolności twarz swą przykłada do wilgotnych brył ziemi ... nędzny, ubogi robak czołgający się na piersi... ot patrzcie, czem jest niewolnik...

Książdz Brzózka zaciska pięść w bólu i wstydzie.

Do piersi mu zbliża się gad zwątpienia i szepce:

— Jakież zwycięstwo twoje? Kryjesz się?

Mateusz w tej chwili szepcząc radzi:

— Idźcie wy Ojczy na lewo, pozwoli zaraz jak olchy ku chacie... ja przejdę na prawo, już wieś obok...

Gdy z poza przelotnych chmur księżyc błysnął pogodny, oświetlił wrota lipowe i próg chaty, Mateusz

wiódł księdza Brzózkę jak dziecię za rękę.

— Chodźcie Ojcze! Broniliście nas, obronimy was.

Tołmazow przeszedł las z krańca w kraniec. On także mógł powtarzać raz po raz: czary i nic więcej jak czary.

Nagrody i krzyża nie dostanie.

Ostatni partyzant, ksiądz Brzózka, uciekł z lasu, już darmo szukać i śledzić. Żeby chociaż jaki ślad, żeby chociaż wiedzieć, w którą stronę się zwrócić, a tu choć wypatruj bez końca, na oranej niwie, ani znaku, by kto przeszedł, na młodej trawie ani śladu, by ją kto zdeptał.

Tołmazow zęby zaciska w złości i klnie, ażeby okazać kozakom gniew srogi.

Trzeba wracać z wstydem i pisać raport:

“Nie znaleźli!...”

— Nie znajdziesz.... — ćwierkają ptaszyny po gałęziach drzew — ostatniego partyzanta nie znajdziesz, bo jego lud osłania, a czy ty wiesz, co znaczy osłona ludu?

— Osłona ludu!... ludu!... ludu!.. — echem cały bór gra i dzwoni.

— Czort jemu!

— Nie znajdziesz — znów ćwierkają ptaki, a z szczytów drzew głos jednego ptaka wydzwania:

— Lud go chowa! chowa lud!

Tołmazow doskonale wie o tem, że lud księdza żywi, chroni, ratuje, osłania. On zanadto dobrze o tem wiedział przed swoją wyprawą, bo kiedy wysyłał szpiegów z rublami, ażeby próbowali dowiedzieć się co o księdzu Brzózce, chłopci ruble rzucali w twarz moskałom i grozili cepami.

Teraz więc, wracając z wyprawy nieudanej, Tołmazow szuka drogi do chat. Ma przy sobie zaufanego starego kozaka i z nim szepcąc radzi:

— Jak długo nie przekupimy chłopów i nie będziemy mieć zdrajcy swojego, tego ostatniego powstańca nie znajdziemy.

— Tu nikt nie zdradzi.

— Może między kobietami.

— Żadna nawet nie chce mówić.

Chodziłem, próbowałem.

— A dzieci?

— Dzieci mądre i o księdzu Brzózce słyszą jak o największym bohaterze. One wiedzą, że w lasach jest ostatni powstaniec, one dla niego zbierają kwiaty, dla niego oddają, co mają najlepsze kąski, one się modlą codziennie, za matkami powtarzając: Święta Maryo! ratuj księdza Brzózkę!

— Czyż nie damy rady ostatniemu?

Stary kozak nachylił się.

Szept słów prędkich słyhać niewyraźnie. Coraz bliżej kozak przy koniu Tołmazowa. Coraz niżej Tołmazow przy starym kozaku. Aż po chwili kozak kłania się i odjeżdża na lewo, Tołmazow ze swoją armią zwraca się w drogę ku miastu...

Za pługiem idący rolnik rozpoczął donośnym głosem:

„ Ciebie On z łowczych obieży wyzuje,
I w zaraźliwem powietrzu ratuje!... ”

Dwa tygodnie spoczywa ksiądz Brzózka we wsi Przewuskach.

Nie ma on fortecy silnie obmurowanej, ani szanieców obronnych, nie ma on żołnierzy na widetach, ani broni nabitej ku obronie, a jednak bezpiecznym się czuje i wie, iż moskiewski sznur nie spęta mu rąk, ani kula moskiewska serca mu nie przebije. Stra-

żą, opieką, obroną, fortecą dla niego miłość ludu i dlatego ten ostatni partyzant na Litwie został najdłużej niepodległym obrońcą, bo przy nim najjaśniejszem kołem lud stanął.

Matkę od miesiąca trzymają w więzieniu, męczą i biją knutami.

— Powiedz gdzie syn!

A stara kobiecina, w lnianej, grubej odzieży, skrawionej kroplami, tryskającymi z pod pletni, odpowiada:

— Mój syn poszedł siać na sprawiedliwość i szczęście.

W rodzinnej wsi księdza Brzózki użyto tysięcznych dróg, ażeby wysledzić miejsce jego pobytu — daremnie.

Teraz oto go w Przewuskach ukrywają. Podlasianie spokojni są o niego. Na darmo by się silili moskale zbliżyć do wsi. Choćby jak węże prześlizgali się na piersiach — we wsi zaraz się dowiedzą. Ani nie widać tej straży, która czuwa, ani nie słyhać

tych sygnałów, które przelatują szybko i dają znać o najmniejszym ruchu.

Ksiądz Brzózka odpoczął po tylu miesiącach przeżytych w gąszczy lasu, wśród mrozów i śniegów, wśród czuwania i niepokoju.

— Dobrze mi w waszej chacie — mówi do Kuby Prokopiaka — przypominają mi się młode lata, gdy widzę na sobie tę naszą świtkę podlaską, tę lnianą bieliznę, szytą rękoma kobiet tutejszych....

A kiedy zbierze się kilku gospodarzy do rozmowy, ksiądz Brzózka opowiada, jako od początku powstania bywało:

— Kiedy tylko zaczęli o tem mówić, iż mają brać do wojska wszystkich młodych Polaków, tak zaraz postanowiono zrobić powstanie. Bo też innej rady nie było. Iść i służyć w carskiem wojsku gdzieś na krańcach Azji i bić się za cara, toć lepiej na oj-

czystej ziemi służyć Ojczyźnie i bić się za jej wolność. Kiedy ogłoszono powstanie 22 stycznia 1863 roku, wtedy ja w Łukowie na kazaniu prosiłem braci, ażeby stawali do obrony Polski. Za to kazanie porwali mię moskale i trzy miesiące w więzieniu przesiedziałem.

Kuba Prokopiak zbliżył się do okna chaty, nadśluchując, czy nie ma jakiego znaku o zbliżającym się niebezpieczeństwie.

Ksiądz Brzózka opowiada dalej.

— Gdy mię puścili, zaraz wstąpiłem jako kapelan do oddziału Lewandowskiego. Byłyż to chwile słodkie i jasne!Skoro świt, niby te ptaszyny, co Bogu na chwałę nucą, powstańcy nasi poczynali ze mną razem poranne modlitwy. A byli tam i starzy i młodzi, takie dziecięta, co to uciekały z domu, by ich matka łzami nie wstrzymała, i tacy osiwiali, którzy

już w sybirskich lodach marzli i po więzieniach zdrowie zmarnowali. I niejeden raz zdawało mi się, że jako kapłan powinien nad tymi ludźmi rozpiąć jakieś skrzydła opieki, by ich od nieszczęść chronić i powinienem nad ich sercami czuwać, ażeby w poświęceniu nie słabły. Niejeden raz kule grają straszną muzykę, jęki rannych rozlegają się żałosną pieśnią, a śmierć leci czarna i jak kłosa na łanie, tak kładnie młodzież naszą na murawie zielonej, a ja jeno z słowem nadziei spieszyć mogę i jeno mogę krzyż nad czołem konających nakreślić.... Śpij bracie w pokoju i śnij, żeś w wolnej Ojczyźnie spoczął!

Przysłonił oczy dłonią — umilkł.

Po przerwie opowiada drżącym głosem.

—Kiedy Lewandowskiego oddział rozsypał się, wstąpiłem do oddziału Krysińskiego. Krysiński miał

wielu żołnierzy, więc dał mi oddział i mianował naczelnikiem. Żebym pragnął godności naczelnika, nie myślcie, stało się to bez mojej woli. Pod Staniszem była walka straszna. Moc ogromna moskali nas obległa. Oj, bogate zniwo śmierć zebrała. Wtedy i ja dostałem cięcie ostre. Czy miślicie, że mi żal tej krwi, co z piersi mej polała się pod Staniszem? Oto myślałem zaraz, z radością prawie — jeżeli powiadają księgi historyczne, iż lud swojej krwi mało za wolność Polski ofiarował, niechże ta krew moja, krew chłopska, sieje się i niech zrodzi nowych bohaterów z ludu.

— Krysiński wyjechał do Galicyi. Jego oddział rozbity szukał dowódcy. Zaczęli się więc powstańcy zbierać. Miałem przeszło 100 ludzi!.. A co za radość była, gdy już i lud stawał do obrony, gdy ja miałem prawie więcej chłopów niż panów, gdy ja

widział, jak o tę wolność Polski i ci chcą walczyć, co jej nawet dobrze jeszcze nie rozumieją i nie znają.

— Tak, moi bracia, dwa lata przetrwałem na służbie i tak jak widzicie zostałem się już ostatni.... ostatni.... czy wiecie, co słowo to znaczy? Nie znaczy to, jakobym był dzielniejszy i mężniejszy od tych, którzy padli od kul i zawiśli na szubienicach. Nie znaczy to, jakobym był wytrwalszy i silniejszy od tych, którzy dawno broń z dłoni opuścili i w sybirskie poszli drogi, bo, wierzcie mi bracia, wielu było bohaterów tak mężnych i wielu ludzi tak poświęconych Polsce, iż dziś my nawet nie jesteśmy zdolni ich ocenić i zrozumieć. Jam dlatego tylko dotrwał ostatni, żeście wy przy mnie stali.

— My? Ojcie duchowny?

— My? biedni podlascy chłopci?

— Tak!.... wyście byli najsilniejszą obroną, najtrwalszą ochroną. Ma-

ją dowód wrogowie, jak trudno zła-
mac i ugiąć tych, za którymi stoi lud.

— My nieuczni i ciemni....

— My ubodzy i nieudolni....

— Ale wy sercem mnie osłania-
cie. A jako serce matki najmocniej-
szą tarczą, tak serce ludu najsilniejszą
obroną!....

Chyłą się do rąk księdza w szarej
świtce, on ich tuli jak dzieci do pier-
si.

— Gru! gru! gru! — ozwało się
nagle gruchanie gołębi.

— To znak....

Ksiądz Brzózka zbladł.

— Idą?

— Bądźcie Ojczy spokojni, straż
czuwa. Dokoła wsi niewidzialna straż.

Wybiegł, przyłożył dłoń do czoła.

Na drodze nie wydać nic.

Od studni, gdzie wysokie topole,
znak idzie inny, gwizdło jakiś ptak, a

gwizdże dwa razy i urywa, znowu dwa razy i urywa.

Gołębie się rozgruchały. Od sołtysa odpowiadają, od cieśli odzywają się — gwar coraz szybszy.

— Chodźcie ojczce — szepce Prokopiak — już wiem, idą od wschodu, na dwie drogi rozdzieleni, pójdziemy w inną stronę.

Wyszli chłopci z pługiem, ksiądz Brzózka ciągnie z nimi, poganiacz nawołuje wesoło, poszli miedzami w słońcu złożonymi i trzema wstęgami trzy pługi ziemię czarną kładną po ściernisku zeszłorocznem, a do wsi Przewuski ciągną moskale pełni nadziei, iż teraz ostatniego powstańca pochwyca.

Gołębie się rozgruchały i dziwny ptak na topoli gwizdże i urywa.

Pierś ludu najsilniejszą tarczą.

Serce ludu najtrwalszą osłoną.

Wróćcie moskale bez krzyżów nagrody.

Ostatni partyzant na Podlasiu jeszcze nie schwytany.

Nie zdradziły jego śladów trawy pochylające się pod stopami przechodzących.

Nie zdradziły jego głosu echa drzew leśnych.

Nie wyszeptaly jego imienia pacholeta wiejskie, które wypytywano cierpliwie i straszono karą.

Nie wskazało jego schronienia słońko jasne, które nad podlasiem staowało w tę wiosnę 1865 roku jako nad cmentarzyskiem i widziało dookoła groby i mogiły.

Nie poprowadził na niego moskali nikt z ludu, choć zdrajcy i szpiegowie chodzili pobrzękując rublami.

Ale zdradził żyd chciwy grosza i

poprowadził moskali z Sokołowa dnia 29 kwietnia.

Poprowadził do chaty sołtysa Bielińskiego i tam ostatniego powstańca w kajdany zakuto, z opieki ludu wyrwano i z pieśnią tryumfu pod sąd poprowadzono.

Razem z nim wzięto Franka Wilczyńskiego, który do ostatniej chwili przy ostatnim partyzancie pozostał.

Cały miesiąc ciągnęły się przesłuchiwanie i wypytywania.

— Powiedz, kto ci pomagał żeś tak długo jeszcze trwał w buncie, ty — ostatni!

— Jestem ostatni ujęty, ale nie ostatni obrońca.

— Jakto, zostali jeszcze? powiedz ich imiona!

— Lud!

— Co za imię? Powiedz imiona tych, co jeszcze zostali jako obrońcy..

jeśli powiesz prawdę, mniejszą otrzymasz karę..

— Mówię prawdę — lud!

— Kto ci dodawał siły, żeś się bronił tak długo?

— Lud!

— Ty ostatni! wiesz, co cię czeka za te wszystkie harde odpowiedzi? Wiesz, co cię czeka za bunt, za walkę, za tyle zaginionych żołdatów, którzy z rąk twoich i twoich buntowszczyków padali?

Zostanie o mnie pamięć wśród ludu.

— Ty ostatni — milcz....

— Za ostatnim pójdą kiedyś nowi i pierwsi.

Dnia 23 maja 1865 roku na rynku w Sokołowie wzniesiono dwie szubienice, a na nich zawisły ciała dwu ostatnich powstańców, księdza Stanisława Brzózki i Franciszka Wilczyńskiego.

Gdzieś, z dalekiej strony, na skrzydłach wiatru płynęło granie dzwonów kościelnych, jakoby na pieśń pożegnania i żałoby.

Gdzieś, z gęstwiny kwitnących w maju drzew, unosiła się w powietrzu woń kwiecia i całowała blade czoła męczenników.

Po niebie rwały się obłoczki białe i przysłaniały jasność słońca.

A ptak czarnoskrzydły mknął z szumem piór żałobnych i niósł posępną wieść polom, łąkom, lasom i chatom.

— Ostatni zginął! Ostatni zgasł!

Zboża zielone łkały cichym płaczem.....

Trawy po miedzach chyliły się w bólu....

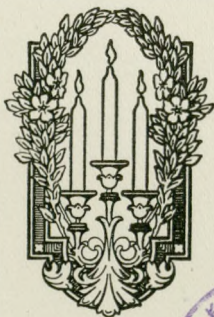
Drzew szumy były jako płacz sierocy....

Tylko od progów chat rozpacz odganiano słowami.

— Ostatni zgasł.... my przyjdziem
nowi....

Oby nie wyrzekł wróg z tryum-
fem, iż zginął w Polsce obrońca — o-
statni!

Koniec.



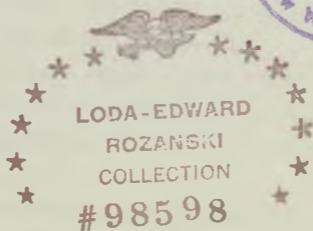
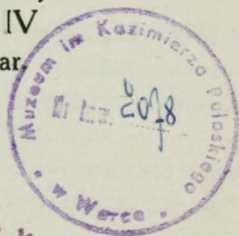


JERZY ORWICZ

(NATALJA DZIERŻKÓWNA)

GOŁĘBICE

Szkic Powieściowy
z Początku IV
Wiek po Nar.
Chrystusa
Pana



DRUKIEM I NAKŁADEM
TRYBUNY POLSKIEJ

432 EAST 13TH ST.,

ERIE, PA.

GOLFERS

The following is a list of the names of the golfers who have been reported to have been in the vicinity of the course during the past few days. The names are given in alphabetical order.

Mr. J. H. Smith
Mr. W. B. Jones
Mr. R. L. Brown
Mr. T. M. White
Mr. C. D. Green
Mr. F. G. Black
Mr. H. K. Grey
Mr. L. P. Blue
Mr. M. N. Yellow
Mr. O. Q. Purple
Mr. S. R. Red
Mr. U. V. Orange
Mr. X. Y. Silver
Mr. Z. A. Gold

These names are given for information only and do not constitute an admission of guilt.

— Czy ty się boisz, Juljo?... Drżysz cała!

— Nie, Łucjo, nie obawiam się niczego. Za-
liż nie jest wszystko w mocy Bożej?... Tylko to
zachodzące jaskrawo słońce przypomniało mi
wasz ogród wspaniały i wodotrysk, przy którym
siadywaliśmy wieczorami.... Pomyślałam wnet o
matce.... że się pewno łzami gorzkimi zalewa, i
wielka żalność ścisnęła me serce!....

To mówiąc, oparła główkę na ramieniu towa-
rzyszki, i dwie duże łzy spłynęły po jej twarzy.

Łucja objęła ją i szepnęła:

— Niedługo może znowu tam będziemy!....
Przecież szukać nas muszą i na ślad wpadną....
Ojciec nie pożałuje okupu, aby nas jak najprędzej
wyzwolić!....

— A gdybyśmy spróbowały z którym z majt-
ków się rozmówić?... Może udałoby się go namó-
wić, aby z powrotem wieść zawiózł naszej rodzi-
nie!.... Jak sądzisz droga Łucjo?....

— Przychodziło mi to już na myśl, ale wi-
dzisz, jak bacznie każdy krok nasz śledzą? Nie-

podobna znaleźć stosownej chwili!.... Gdyby zauważono, że porozumiewamy się ze służbą okrętową, mogliby nam zabronić przebywania na pokładzie.

— Masz słuszność, pozbawiłoby to nas jedynej naszej pociechy w niedoli, i nie doprowadziłoby do upragnionego celu. Wydało mi się jednak, że ten jasnowłosy majtek, który w tej chwili skręca liny, przechodząc koło nas szepnął jakieś słowo?.... Nie dosłyszałam, co wyrzekł, gdyż odwołano go natychmiast, ale w spojrzeniu jego było coś dziwnego, widocznie nam współczuje, i mam przeczucie, iż jest chrześcijaninem!

— Cóżby to było za szczęście mieć choć jednego sprzymierzeńca!.... — zawołała Łucia, którą nadzieja ta ożywiła wielce.

— Podobno wiozą nas do Aleksandrji.

— Tak przynajmniej wyrozumiałam z kilku słów, które zamienili ze sobą ci zbóje.

— Gdybyż w jakiś sposób dowiedzieć się gdzie w tej chwili Laurencjusz przebywa! — zawoła Julja. — Brat twój miał być także w owym mieście!

Rozmowę tę głosem przyciszonym wiodły ze sobą dwie młodziutki rzymskie dziewice. stojąc na pokładzie okrętu. Miały na sobie białe powłó-

czyste szaty; bujne włosy, w węzeł luźny na karku spięte, układały się wdzięcznie; — oblane czerwienią zachodu wyglądały jak dwa posągi marmurowe.

Lucja była wyższa i starsza, oczy miała czarne, głębokie, brwi śmiałym łukiem zarysowywały się pod białym gładkim czołem.

Kształtna i smukła jej postać wyrażała spokój, budzący podziw i nakazujący szacunek.

Julja była drobna, o dziecinnych prawie rysach twarzy, w której malowała się słodycz niezmierna.

Duże szafirowe oczęta patrzyły niby trochę zdziwione i łzawe, a wyraziste usta równie łatwo składały się do uśmiechu, lub tworzyły podkówkę jak u nadąsanego dziecka, któremu się na płacz zbiera.

Lucję i Julję łączyły stosunki pokrewieństwa, które, acz dalekie, wiązały je węzłem zażyłości i przyjaźni.

Lucja była córką Tuljusza, pochodzącego ze starożytnej i szanowanej wielce rodziny rzymskich patrycjuszów (to jest jednego z zamożnych rodów, używających w państwie Rzymskiem jak najszerzych praw obywatelskich).

Julja miała tylko matkę, ojciec jej poległ w

wojnie z barbarzyńcami, a cały majątek po nim zagarnęli chciwi krewni, pozostawiając dwom kobietom bardzo skromne środki do życia.

Julja przebywała od lat najmłodszych w domu Tuljusza, jako towarzyszka Łucji: nie mając rodzeństwa, ukochała Łucję i brata jej Laurencjusza, jak najbliższą i najdroższą sercu rodzinę.

Działo się to w czasach, kiedy państwo Rzymskie wstrząsane było najrozmaitszemi walkami, najezdami i wewnętrznemi rozruchami.

Czasy Dioklecjana stanowią pamiętną epokę w dziejach rzymskich.

Zaprowadził on przy dworze obyczaje i przepych wschodni; ludzie musieli zbliżyć się do niego, jak do wyższej, prawie równej bogom istoty, a cały naród uważał za bezwzględnych niewolników.

Podzielił swe państwo na cztery części, jako współrządcę przybrał sobie wodza armji, równie srogiego jak on sam, Maksymiljana, z tytułem "Augustus", którego i sam Dioklecjan używał.

Następnie dla wzmocnienia potęgi państwa wobec napadów Persów i Germanów, obaj "augustowie" przybrali pomocników. Dioklecjan — Galerjusza, Maksymiljan — Konstancjusza. Ci otrzymali tytuł cesarów.

Państwo Rzymskie było w one czasy tak rozległe, że dla strzeżenia całości jego granic, musiano zużytkować olbrzymie zasoby energji i siły.

Maksymiljanowi przypadły w udziale rządy nad Italją i Afryką, Galerjusz objął kraje Naddunajskie, Konstancjusz — Hiszpanję, Galję i Brytanję, Dioklecjan — Francję, Azję i Egipt, zachowując zarazem ogólne zwierzchnictwo.

Hufce rzymskie wkraczały w najodleglejsze kraje, to też coraz nowe prowincje dostawały się pod panowanie Rzymian. Dioklecjan, zachęcony zwycięstwami i wierząc tylko w siłę oręża, postanowił rozprawić się za jednym zamachem z wzrastającą z dniem każdym obcą sobie i niezrozumiałą potęgą chrześcijaństwa. Nakazał więc najsroższe prześladowanie w roku 303 po narodzeniu Chrystusa.

Polała się krew strumieniami, jednak czuł okrutny władca bezskuteczność krwawego przedsięwzięcia, to też zniechęcony ustąpił z tronu, zmuszając równie do tego Maksymiljana. Rządy zaś powierzył cesarom: Galerjuszowi i Konstancjuszowi którzy znów z kolei przybrali tytuł “augustów” i nowych współrządców mianowali.

Ale pretorjanie, czyli straż przyboczna, posiadająca większe od innych żołnierzy przywileje,

i lud, oburzony podatkami, nałożonemi przez Calerjusza, powołali znów Maksymiljana wraz z synem jego Maksencjuszem, na godność augustów ich wynosząc.

W tym to czasie właśnie opowiadanie nasze się zaczyna. Aby się dowiedzieć, w jaki sposób Łucja i Julja znalazły się na owym okręcie, wbrew własnej woli wiezione w kraj nieznany, musimy się trochę wstecz cofnąć.

Młode dziewczęta, pomimo że chowane pod pilnym dozorem, zdołały jednak w największej tajemnicy przejąć się zasadami owej prześladowanej, potępianej, wyszydzanej przez pogan wiary chrześcijańskiej. Ta wspólność zasad łączyła ściśle ich myśli i podnosiła ducha.

Julja, która pamięć ojca czciła bezgranicznie, szczęśliwą się czuła, mogąc się modlić za niego, i wierzyła, że chociaż był poganinem, jednak Bóg Wszechmocny za jego czyny waleczne i śmierć, poniesioną w obronie ojczyzny, pozwoli mu w przyszłym życiu połączyć się z ukochanymi.

Matka Julji, imieniem Klaudja, opłakiwała codziennie stratę małżonka. Łatwo więc pod wpływem córki i Łucji dała się nakłonić do przyjęcia kojącej jej boleść i troski, nauki Chrystusa. Chodziła odtąd w cichości wraz z młodemi dziewczę-

tami na modlitwy, chociaż musiały się kryć z tem przed najbliższem otoczeniem, aby się nie narazić na szyderstwa i prześladowania krewnych. Szczególniej obawiano się gniewu Tuljusza, w razie gdyby mu doniesiono, iż Klaudja, jako poważna matrona, miast hamować zapał młodych dziewcząt, sama pod ich wpływem do błędów srogo prześladowanych się skłania.

Kızewiła się jednak z niesłychaną szybkością “dobra nowina”, jak zwali mową wiarę jej wyznawcy.

Mężowie święci z uśmiechem na ustach konali w cyrkach, więzieniach, na torturach!....

Zdawało się, jakby jutrzerka rozjaśniła mroki. Czy podobna noc zatrzymać, gdy dzień się budzi? Do światłości tej garnęły się wszystkie zacne i szlachetne serca! Wiara wzniosła i czysta rosła z dniem każdym, potężniała, obejmując coraz większe zastępy.

— — —

Ale smutne oblicze Klaudji zasępiło się niezmiernie, gdy raz, w cichy wieczór majowy, młode dziewczęta, tuląc głowy do jej kolan i trzymając się za ręce, jakby chciały umocnić się wzajemnie w swem postanowieniu, wyszeptwały swe zwierzenie:

Oto postanowiły obie złożyć śluby wiecznego dziewictwa, dzień ten się zbliżał, chciały aby ich zamiarom pobłogosławiła Klaudja.

— Juljo! dziecko moje! — zawołała matka rozpacznie. — Czyż koniecznie Bóg wymaga ode mnie podobnej ofiary?.... Przecież mam cię jedną!

Roślam, że poślubisz jakiego dzielnego i walecznego, jakim był ojciec twój, młodziana, a wtedy rozpoczniemy nowe życie, spokojne, bez troski, — wnuki chować będę i mówić im o moim Korneljuszu i składać pieśni o jego czynach i chwale. A ty, moja złotowłosa, będziesz domu tego jasnością i osłoda.... Juljo!.... Wszak i ja kocham również owego Boga, którego czcić tyś mię nauczyła! Ale jam tyle już przecierpiała w życiu, nie wymagaj ode mnie poświęcenia! Nie odbieraj mi najdroższych pragnień serca!.... Czyż nie wzniosłem zadaniem jest wychować synów w miłości Bożej, w tej wierze tak do naszej dawnej niepodobnej, gdyż w niej panują wszechwładnie pokora, miłość i przebaczenie!....

A ty, Łucjo, czyż nie trwożysz się na myśl o gniewie Tuljusza?.... Co powie brat twój, szlachetny Laurencjusz?....

Twarz Julji oblała się płomiennym rumieńcem

na dźwięk tego imienia. Pochyliła szybko głowę i ukryła ją w fałdach sukni matczynej.

— Myślałam o tem nieraz — odrzekała Lucja poważnie — ale właśnie dlatego, że oni trwają uporczywie w błędzie, pragnę poświęcić się modlitwom o ich nawrócenie, a jeśli kiedy ten dzień upragniony nadejdzie, będę się czuła nieskończenie szczęśliwą!

Julja płakała cicho. Widocznie staczała walkę wewnętrzną, wstydziła się przed Lucją swej słabości, podziwiała jej stanowczość, jednak smutek matki, a może wspomnienie o niezwykłej urody młodzieńcu, którego imię z ust Klaudji padło przed chwilą, zamąciło jej spokój.

Westchnienie głębokie wyrwało się z jej piersi.

Gdybyż zobaczyć go raz jeszcze!.... Raz jeden tylko, zanim ją włączą w te szeregi dziewic, przyodzianych w grube szaty zakonne! Spojrzałby jej w oczy tym dziwnie przenikającym, a zarazem pieśczośliwym wzrokiem, jakim ją żegnał przed dwoma kalendami.

Jakto on powiedział wtedy, odjeżdżając na wojnę, gdy już pożegnał ojca i siostrę i zgromadzonych licznie przyjaciół?....

Ostatnie słowo było dla niej, dla Julji!

Dumną była z tego, i choć twarz miała łzami zalaną, pamięta, że uśmiechnęła się przez łzy.

— Juljo!... mówił — Malutka moja! Dajże mi całusa na drogę, na szczęśliwą drogę!... Wszak ty mi dobrze życzysz.... Nieprawdaż?—Czy mu dobrze życzyła?... Mój Boże! Gdyby mógł spojrzeć w jej serce, jak mu oddane było, jak smutne!... Jeszcze coś mówił, ale jej się tak zamroczyło w głowie z wielkiego wzruszenia, że słyszała dźwięk jego głosu, rozumiała treść, ale w żaden sposób nie może przypomnieć sobie dosłownie jak to brzmiało!...

Objął ją w pół, gorący pocałunek wycisnął na rozpłomienionym policzku.... skoczył na swą cudną kasztankę Eris, i pocałowali wszyscy razem co koń wyskoczy!... Nie obejrzał się nawet, może bał się zdradzić, że i sam był wzruszony pożegnaniem....

— Co to będzie, gdy po powrocie o wszystkim się dowie?... Laurencjusz!... Laurencjusz!... Czy jest dźwięczniejsze i słodsze dla ucha imię? — powtarzała w myśli Julja.

Lecz po chwili, jak gdyby obudziła się ze snu i ręce złożyła jak do modlitwy:

— Mój Boże!... Przebacz mi myśli moje!...

— Przebacz, że teraz, kiedy o Tobie wyłącznie

rozpamiętywać powinnam, serce zwróciło się ku ziemskim pragnieniom!....

— Jakam ja grzeszna!.... Jakam ja płocho!....

— On sam, Bóg umęczony, cierpiął za nas i dla nas, a ja waham się jeszcze i o doczesne, a nie o przyszłe szczęście się troszczę!....

Tak rozmyślała rzymska dziewica, gotując się do stanowczego kroku w swem życiu.

Nagle powstała, wyprostowała się i zawołała głosem drżącym od wzruszenia, lecz w którym brzmiało niezłomne postanowienie:

— Matko, daruj!.... Przebacz, pozwól i pobłogosław. Ja muszę tak uczynić. Bóg tak chce!....

Lucja rzuciła się w jej objęcia.

— Będziemy zawsze razem!.... Będziemy się podtrzymywały i krzepiły wzajemnie — rzekła z zapałem.

— My, oblubienice Chrystusowe!....

Zapanowała wielka uroczysta cisza. Klaudja spojrzała w niebo, jakby w milczeniu składając ofiarę ze swych macierzyńskich uczuć przed ołtarzem Wszechpotężnego!....

Staął jej w myśli obraz wyraźny, jaki widziała przed paru tygodniami: orszak dziewic w bieli, prowadzony przez księży i diakonów, ów

hymn uroczysty: "Jesu corona virginum" (Jezu korono dziewic).

A potem ta chwila, gdy błogosławiąc im, rozdzielono pomiędzy nie szaty zakonne, a one kładły głowy na ołtarzu na znak, że ofiarowują siebie i myśli swe i serca służbie Bożej na wieki.

Długą drogę miały do przebycia Łucja i Julia, aby się dostać w umówione miejsce, gdzie, przyłączywszy się do grona dziewic, równie jak one pragnących przywdziać habit, razem już wejść miały do domu modlitwy.

Szły bojaźliwie trochę, same jedne, nie chciały bowiem wtajemniczać nikogo z domowników i służebnych.

Szczególnie Łucja miała powody obawiać się, że ją śledzą, a w razie, gdyby doniesiono ojcu o jej schadzki z chrześcijanami wiedziała, że ją czekały srogie badania. Najgorszym zaś przejmowała ją lękiem myśl, że mogłaby tym sposobem ściągnąć prześladowanie na tych, którzy ją z taką miłością przygarnęli do siebie.

Postanowione było że obie jeszcze czas jakiś nawet po złożeniu ślubów, będą przebywały w rodzinie, wypełniając tylko powinności, przywią-

zane do zakonu, i w kościele zajmując odtąd miejsce, wyłącznie dla poświęconych dziewic przeznaczone.

Pusto prawie było w tej dzielnicy miasta, którą przebywały.

Gdzie niegdzie suuły się strażę leniwie i sennie, a całe miasto zdawało się we śnie głębokim pogrążone.

Weszły właśnie w wąski zaułek, na którego krańcu miał oczekiwać przewodnik, i na znak umówiony wprowadzić do domu, gdzie odbywało się tajemne zebranie chrześcijan.

Na rogu ulicy, zamiast znanego sobie starca, którego znaleźć się spodziewały, ujrzały młodego, barczystego, o ponurem wejrzeniu, nieznanego.

Zatrzymał je nagłym ruchem i rzekł krótko:
— Dokąd?....

Dziewczęta przytuliły się do siebie w milczeniu.

Nikogo nie było dookoła, lęk je ogarnął.

— Wiem, dokąd dążycie!.... — dodał, starając się przybrać jak najuprzejmiejszy ton mowy. Zawiodę was, boście jak widzę, niebardzo świadome drogi.

— Dom naszych krewnych stąd niedaleko, do-

skonale znamy drogę! — odrzekła Łucja wyniosłe.

— Wiemy, wiemy jacy to krewni!... Na modlitwy zlatują się gołębnice do domu Bożego!—mówił szyderczo nieznajomy. — Cześć oddawać oślej głowie... Cha, cha, cha!

Łucja drgnęła.

Wiedziała dobrze, że tą uwłaczającą nazwą starali się poganie ośmieszać i bezcześcić nową wiarę.

Nie chciała się zdradzić, iż wie, o czym mowa

— Nie rozumiem słów waszych — rzekła — zapewne wino zamroczyło wam myśli i dlatego macie śmiałość zatrzymywać i napastować bezbronne kobiety! Jest to hańba w naszym wolnym mieście, gdzie wszyscy obywatele są pod opieką prawa!....

Nieznajomy uśmiechnął się złośliwie, zbity na chwilę z tropu hardem spojrzeniem dziewczyny Cofnął się o krok jeden, lecz wnet przystąpił znów ku niej tak blisko, jakby w świetle księżyca chciał dokładnie przyjrzeć się jej twarzy, którą okrywała zarzucona na głowę zasłona.

Spojrzenia ich się skrzyżowały jak ostrza sztyletu.

Chwycił ją za obie dłonie.

— Pójdźcie za mną!.... — syknął z mocą.

Dziewczęta zachnęły się, i stłumiony krzyk oburzenia wyrwał się jednocześnie z ich piersi.

Nieznajomy silnem uderzeniem pięści otworzył okno pobliskiego domu.

Zamigotało światło kaganka i wyłoniła się z półcieniu twarz pomarszczona i wstrętna kobiety, podobnej do czarownicy.

— Mactel! — krzyknął.

Był to snąć sygnał umówiony, gdyż w mgnieniu oka czterech podobnych mu zbójów okrytych w ciemne oponcze, otoczyło dziewczęta i przemocą wciągnęli je do mieszkania.

Skrzypnęły ciężkie rygle za nimi, i wiedziono je przez szeregi izb ciemnych i korytarzy.

Drżące ze strachu trzymały się kurczowo za ręce i w duchu polecały się Bogu.

Uczuły znaczną ulgę, gdy je nakoniec pozostawiono same w półciemnej, ponurej komnacie.

Mdłe światło kaganka słabo rozjaśniało mroki.

— Co oni chcą zrobić z nami?.... — zawołała Julja, tuląc się do ramienia towarzyszki. — Gdyby miano nas zamordować, uczyniliby to niezwłocznie.

— Taki gwałt niesłychany! — szepnęła Łu-

cja, drżąc z oburzenia. — Z nieprzyjaznego tonu mowy o chrześcijanach sędzę, że chcą naumyślnie wzbudzić podejrzenie, że to oni nas więżą, i za złożeniem okupu może nas powrócą rodzinie. Trzeba się z nimi rozmówić. Gdy się dowiedzą, że jestem córką Tuljusza i siostrą Laurencjusza, może się zemsty ich ulękną....

— Tymczasem jesteście w ich mocy — odparła Julja — widocznie są pijani, czekajmy ażali jutro nie przyniesie im opamiętania.

Z odległej izby dochodziły głosy zmieszane, śnać ucztowano wesoło, gdyż słychać było dźwięk puharów i głośne śmiechy.

Znużone i przerażone dziewczęta modliły się gorąco, gdy stara wiedźma, ta sama, którą widziały w oknie, przyniosła im posiłek, zachęcając, aby coś zjadły.

Odrząciły jednak misy z jadłem i napój ze wstrętem.

— Nie obawiajcie się podstępów!.... Nie trucizna to jest przecie, potrawy wykwiłtne i nektar wam przysłano doskonały.

I jak dla zachęty, dotknęła ustami puharu.

Chciała odejść, lecz Łucja rzuciła się ku niej, gwałtownym ruchem zatrzymując za ramię.

— Kobieto! Miej litość! Powiedz w czyjeśmy

ręce wpadły?... Jakiegokolwiekbyś zapragnęła nagrody, przyrzekam ci ją w imieniu ojca mego, szlachetnego Tuljusza. On cię hojnie obdarzy, bądź pewna, tylko oswobodź nas z tej ohydnej niewoli.

W odpowiedzi na to, stara kobieta ukazała swe żółte zęby, wykrzywiając usta w brzydkim uśmiechu.

— Nie jest to wcale ohydna niewola, moje ty orlątko spłoszone. Klateczka tylko tymczasowa ale poczekajcie trochę, będziecie miały wkrótce złotą klatkę i rozkoszne życie! Takie piękne białe ciało! takie ogniste oczy! warte dużo złota! He, he, he!

I to mówiąc, ze wstrętną śmiałością klepała ją po ramieniu.

— Ależ to gwałt!... To bezprawie! — zawołała Łucja w najwyższym oburzeniu.

— Dużo takich ptaszynek widziały już moje oczy!... ciągnęła dalej stara, jakby wcale słów Łucji nie słysząc. — Do znienawidzonych chrześcijan, na zatracenie same się oddać chciały! Czyż nie lepiej, że je gwałtem do innego życia zabrano?....

— Co mówisz, nieszczęsna?... — krzyknęła

Julja — więc ty wiesz, co z nami chcą uczynić?.
Powiedz, na litość!....

— Nic nie wiem, nic nie wiem!.... kręciła głową stara wiedźma. — Pojedziecie pewno okrętem za morze hen!.... Ha, ha! I jabym pojechała. Czemu nie?.... Tylko że już stara Kornelja nikomu niepotrzebna!....

— Daj nam możność ucieczki! — próbowała nakłonić ją Łucja. — Zobaczysz, że nie pożałujesz tego! Złota dostaniesz tyle, ile sama zapragniesz! Oddam ci wszystkie klejnoty, jakie posiadam.

— Poco mi to?.... — odparła z chytrym uśmiechem. — Czy myślisz, że mi życie niemiłe?. Oniby mię zabili, gdybym śmiała wam dopomóc. Nie pozwolili nawet nie gadać z wami!

— Któż oni są?.... zapytała Julja przerażona.

— Ha! Młodzi, silni, śmiali, niczego się na świecie nie zląkną! — odparła wymijająco.

— Nikczemnicy!.... Zbóje!.... — zawołała Łucja.

— Cicho! sza! — szepnęła stara, przykładając palec do ust. — Niechby posłyszeli, a gorzej wam będzie!....

— Niech słyszą!.... Niech wiedzą, że pogardzam nimi! Podli tchórze! Nocni napastnicy!....

Niechby śmieli mię gwałtem z domu ojca porwać!

— Hola! hola.... Co to za babskie paplaniny?
— zawołał głos męski u progu — Korneljo! Czy masz ochotę, aby ci język ucięto? POCO wdajesz się w gawędy z temi srokami?....

Kornelja znikła w mgnieniu oka, drzwi gwałtownie zatrzasnąwszy za sobą.

Głucha cisza zaległa dokoła.

— Łucjo! — szepnęła zcicha Julja — czy będziesz miała odwagę umrzeć?....

Myśli ich widocznie spotkały się w tej chwili, Łucja bowiem, obejmując ją ramieniem, rzekła z bezgranicznym smutkiem w głosie:

— Wiesz, że jestem odważna, Juljo, ale my chrześcijanki nie mamy prawa życia sobie odbierać!....

— I powinnyśmy nawet wrogom przebaczać?
— szepnęła Julja jakby pytająco.

— Chrystus każe miłować wszystkich — odrzekła Łucja. — Uniosłam się przed chwilą, a powinnyśmy bez szemrania przyjmować próby jakie wola Opatrzności nam zsyła. Jeszcze wiele z poganki jest we mnie!.... — dodała z pokorą.

— Ależ, Łucjo, przecież oni bluźnią przeciw naszemu Bogu!.... Przebaczać można tym, którzy czują skruchę! Jak mi straszno!.... Ach, Łucjo!

Łucjo! Co się z nami stanie?... Boże, ratuj!....

— Ukłęknijmy i módlmy się, gdyby nawet widzieli nas, nie mamy powodu zapierać się, iż wyznajemy wzniosłą wiarę Chrystusową. Tam w świątyni pewno z zadziwieniem nieobecność naszą zauważono! — rzekła Łucja smutno. — Złączmyż modlitwy nasze z ich modłami. Bądźmy myślą z nimi!....

I w ciszy nocy płynęły gorące prośby z piersi młodych i pełnych wiary. Julja modliła się za matkę i w głębi serca dodała:

— Boże Wszchemogący! Ześlij mi jakie chcesz umartwienia, bylebym niemi okupić mogła szczęście i nawrócenie Laurencjusza!....

Pomimo gwałtownych wzruszeń sen zaczął kleić im powieki. Przytulone do siebie, usnęły cicho na twardem posłaniu. Krótka noc letnia miała się ku końcowi. Zaledwie jednak świtać zaczynało, usłyszały szepty i jakby spór jakiś w przyległej izbie.

Skrzypnęły drzwi i czterech ludzi w ciemnych płaszczach stanęło w progu. Z głębi nieśmiało, lecz ciekawie, wyzierała stara czarownica

Nagle Łucja i Julja zostały otulone w olbrzymie "saguni" (oponcze żołnierskie) z grubej tka-

niny, a zarazem uczuły, że ktoś mocno szorstką dłonią zakrywa im usta.

Szybkim krokiem wybiegli zbóje ze swym łupem, a usadowiwszy go z nadzwyczajną szybkością w lektykę, posuwali się jakąś krętą, pochyłą ścieżyną.

Ogłuszone i przerażone dziewczęta słyszały tylko chrzęst łamanych gałęzi, miarowe kroki niosących je ludzi, i czuły całą swą bezsilność i niemoc wobec gwałtu i przemocy.

W głuchem milczeniu posuwano się naprzód jak gdyby to był orszak pogrzebowy.

Po godzinnej przeszło podróży, zatrzymano się w miejscu pustem i odludnem. Tu skrępowanym płaszczami dziewczicom pozwolono odpocząć.

Rozglądały się dokoła osłupiałemi oczyma jakby tchu w piersi im brakło.

— Zabijcie nas odrazu! — zawołała Julja z taką gorącą prośbą w głosie, zwracając się do swych prześladowców, jakby błagała o największą łaskę.

W odpowiedzi na to rozbrzmiał śmiech donośny.

— Cha, cha, cha! Nie! odważna turkaweczko!... Nie na rzeź was wzięliśmy!

— My nie chrześcijanie i nie potrzebujemy krwi niewinnych jagniątek!

— Co myślisz, Hermasie?... Czy nie szkoda byłoby takiej urody dla tych kretów chrześcijańskich, co tam pod ziemią się kryją i najpiękniejsze dziewice do swych dziwacznych obrządków nakłaniają!

Barcysty, o chmurnem obliczu wielkolud Hermas, którego dla jego siły Herkulesem przezywano, splunął pogardliwie.

— Bodajby ich wszystkich ogień pochłonał! Rośnie tego moc wielka, jak grzybów po deszczu istne przekleństwo bogów.

— Nie wiem, coście wy za jedni, i czy jakimkolwiek bogom składacie ofiary, — zawołała Łucja — ale bądźcie pewni, że nie minie was kara zasłużona czy w doczesnem, czy w przyszłym życiu, gdyż postąpiliście....

Tu przerwał jej mowę śmiech głośny napastników.

— Grozić nam się ośmielasz, harda dziewczyno? — Nieraz już słyszeliśmy takie puste słowa, a przecież ani włos nam nie spadł z głowy! Nieprawdaż, Severusie? — zawołał Hermas.

— Ojciec mój i brat potrafią się zemścić — rzekła Łucja, dumnie brwi ściągając, a Bóg, który

wszystko widzi, ocali nas, bo wszyscyśmy w Jego mocy.

— W takim razie ten wasz Bóg będzie miał wiele spraw do załatwienia z waszego powodu — naigrawał się Sewerus — gdyż postaramy się o to, aby szlachetny Tuljusz i Laurencjusz przetrząsali wszystkie kryjówki chrześcijan dla odszukania zaginionych. Przysięgam na Junonę, że niejedna głowa chrześcijańska spadnie tam z karku przy tych łowach!

Twarz Lucji stała się bladą jak płótno. Stała się, jakby była bliską omdlenia. Gwałtowny ból ścisnął jej serce.

— Wina! wina jej dajcie co prędzej! — zawołał jeden z orszaków.

Przemocą wiano jej wino w usta, gdy pić się wzdragała.

Julja płakała cicho.

— Nie płacz mała, oczy ci spuchną, a na ich blasku nam zależy!

— Wiedz zresztą, że kobieta łacniej uśmiechem, niż łżą zdobywa!

— Mądrześ to powiedział, Hermasie. Łzy i cierpienia to rozkosz i uciecha tych zatracęńców chrześcijańskich.

Dla nas życie — użycie!
Wina beczka — złota trzos!
Słodki los!....

— Słodki los — zawtórował Hermas basem.

— Ale wyruszajmy w drogę, musimy dziś jeszcze być na okręcie, inaczej mogą nam popsuć szyki!

Późnym wieczorem, po długiej i uciążliwej podróży przybyli do nadbrzeżnej wioski, zawsze starając się, aby dziewczęta nie mogły wyrozumieć, gdzie się znajdują, i w jaką udają się stronę.

Umieszczono je na statku, który przewoził zboże z Egiptu.

Dopiero tam zrozumiały, że je wiozą do Aleksandrii.

— Wszakże do Afryki podążył też Laurencjusz z wojskami Maksencjusza — błysnęło wnet w myśli Julji.

W jej dzieciennym umyśle rysowały się już najrozmaitsze obrazy. Wydawało się jej, że byleby się dostały do afrykańskiego brzegu, którego się lękała i zaczynała pragnąć zarazem, odnajdą je tam niewątpliwie.

Mijały tymczasem dni nieskończenie długie i do siebie podobne. Dziewczęta poczęły teraz cie-

kawie choć trwoźnie rozglądać się w nowem otoczeniu.

Tylko Hermas i Sewerus towarzyszyli im w podróży. Na szczęście trzymali się zdaleka, i popijając wciąż wino wraz z dowódcą okrętu, zdawali się ogromnie zajęci jakimiś obliczeniami i rachunkami, a w wolnych chwilach grali w kości.

Jednak zawsze jakieś “czujne oczy i uszy” były nieopodal; nikt z całej załogi, oprócz owego jasnowłosego majtka, o którym mówiła Julja, nie wzbudzał zaufania. Były to po większej części twarze opijusów od wichrów szerniałe, o rysach twardej i ostrych, jakby z bronzu wykute. Śpiewali pieśni dzikie, hulaszce, które słuch dziewcząt raziły, zarówno dźwiękiem swym, jak treścią.

— Benonie! śpiesz się!.... — wołano ze wszech stron.

— Benonie! dowódca cię wzywa!

Jasnowłosy majtek, który nosił to imię, był zatrudniony coraz to nową robotą.

— Czy nie uważasz, Łucjo, że ten jasnowłosy pracuje dwa razy więcej od innych? — rzekła Julja.

— Żaden z nich z taką pilnością i pogodą nie spełnia swych obowiązków — odparła Łucja.

Noc nadeszła i niebo zaciągnęło się chmura-

mi. Po dniu upalnym deszcz kroplisty puścił się z taką gwałtownością, że zdawało się, cały okręt zaleje.

Widocznie zbliżała się burza, gdyż nawykli do nagłych zmian na morzu, majtkowie mieli wygląd zafrasowany. Ruch był wielki na statku. Dowódca wydawał krótkie urywane rozkazy, które spełniano z niezmierną szybkością. Błyskawice rozdzierały co chwila niebo. Łucja i Julja ukryte w swym kącie modliły się gorąco.

Naraz jasnowłosy Benon znalazł się przy nich Ukląkł obok modlących się i powtarzał za nimi słowa pacierza, wzruszony do głębi.

Zdziwione i uradowane tem odkryciem dziewczęta powstały pośpiesznie i uścisnęły dłoń jego, jakby odnalazły kogoś bliskiego sobie.

Nie było czasu na wyjaśnienia.

— Niebezpieczeństwo jest groźne! Być może lada chwila śmierć nas spotka, bądźmy przygotowani na wszystko, co tylko jednak będzie w mojej mocy zrobię, aby was uratować! — rzekł Benon szybko.

Dziewczęta płakały.

— Jeśli nas Bóg ocali, wtedy potrafię wyrwać was z mocy tych szatanów! — dodał porywczo.

— Módlcie się, abyśmy szczęśliwie wylądowa-

li w Aleksandrji; tam bezpieczną kryjówkę już mam upatrzoną, będziecie przebywały między chrześcijanami, których zadaniem jest łotrowskie zamysły zbójów niweczyć. Oto znak po którym poznacie naszych.

To mówiąc wsunął w dłoń Łucji małą blaszkę jakimś niezrozumiałym opatrzoną napisem, i zniknął pośpiesznie, aby jego nieobecności nie zauważono.

A wicher tymczasem szalał z gwałtownością niesłychaną; pienilo się morze jak potwór rozwścieczony, słycać było dokoła dzikie okrzyki i nawoływania majtków, wszystko to razem sprawiało wrażenie jakiegoś piekielnego chaosu.

Zdawało się prawie niemożliwem, aby statek mógł się oprzeć strasznej nawałnicy.

Przed obliczem przerażonych dziewic stanął teraz Hermas, blady, z rozwichrzonym włosiem i rzekł ponuro:

— Giniemy! Niema ratunku!.... Woda się do-
bywa w głębi okrętu. Wyrzuciliśmy wszystkie ciężary! Teraz chyba nieziemskie siły mogą nas ocalić!.... Jeśli z takiego położenia potrafi wasz Bóg wyratować, to i ja powiem, że jest wielki, i gotów jestem przed nim się ukorzyć.

Gdy to mówił, wicher zakołysał statkiem z

taką mocą, że Hermas zatoczył się jak pijany.

Wpadł dowódca okrętu i chwyciwszy Hermasa za ramię — zawołał z jakąś dziką rozpaczą:

— Niema ratunku!... Ludzie śmiertelnie znużeni, odmawiają posłuszeństwa. Każda chwila jest droga!... Trzeba ukarać śmiercią tych zbuntowanych szaleńców!...

Wybiegli pośpiesznie, a za nimi z rozwianym włosiem, blada lecz dziwnie promienna w swym dziewiczym majestacie, ze wzrokiem skupionym i jakby natchniona dążyła Łucja.

Przez chwilę zdawało się jej, że już nie należy do tego świata; że oto dzisiejszej nocy stanie przed sądem Pana, że należy jej w ostatniej chwili życia myśleć tylko o nawróceniu tych ludzi.

Chciała zginąć mężnie, aby widzieli, jak cichą i słodką jest śmierć dla tych, którzy wierzą święcie w pozagrobowe życie!...

Widziała przed sobą, jak we śnie, gromadę ludzi zbitych w szarą, bezkształtną masę. Wyglądali jak trzoda owiec w jedną kupę spędzonych, bezradnych wobec klęski. Nagle wydało się jej, że jakiś głos wewnętrzny każe jej powołać tych ludzi do czynu.

— Brać się do pracy, a żywo! Bóg nas ocali! zawołała głosem dźwięcznym, podniesionym, a

tak pełnym jakiegoś wewnętrznego przeświadczenia, że wszystkich oczy zwróciły się naraz na nią pełne radosnego zadziwienia.

— Nie opuszczajcie rąk! Przetrwajcie burzę! Być może ład niedaleko!... Wszyscy będą ocaleni!

— Szalona!... — syknął dowódca przez zęby, ruszając ramionami.

— Boska!... — zawołał Hermas, z zachwytem obejmując wzrokiem wyniosłą i kształtną postać Łucji, która na tle ciemnym odbijała, jak promień księżycowy.

— Odważna! Śnać z męźnych rodu!... — krzyknął któryś z majtków. — Hej, druhowie! Czy to nie wstyd, żebyśmy lęklikwsi byli od niewiasty?...

— Poco siły tracić po próżnicy! — mruknął inny ponuro.—Tak czy tak, musimy umierać!...

Ale zakrzyczano go ze wszech stron i nagle, jakby ze świeżemi siłami, zabrano się do pracy.

— Sternik utonął!... Fala go zniosła! — rozległ się krzyk i znowu chwilowy popłoch zapanaował na statku.

— Benonie! W imię Boże obejmij ster! — zawołała Łucja donośnie, i jasnowłose chłopię zajęło wnet miejsce starego doświadczonego marynarza.

Dowódca okrętu Achyllas usunął się ciężko na jakąś wiązkę lin, rzuconych w kącie, i ukryw-
szy głowę w obu dłoniach, zdawał się głuchy na
wszystko, co go otaczało.

On jeden pozostał bezczynny.

Przytomność umysłu i dziwny spokój Łucji
oddziaływały w sposób niezwykle na całą załogę. Z
gorączkowym pośpiechem wyczerpano wodę, lata-
no nadwerżoną część okrętu, każdy działał na
swoją rękę, jednak w myśl jedną, która ich oży-
wiała, podniecała i dodawała siły.

— Nie zginiemy! Nie zginiemy! — powtarzali
— dodając sobie wzajemnie otuchy i zagrzewając
do pracy.

— Benon! Zuch chłopak! Ho! Ho!

— Jakby dwadzieścia lat był przy sterze!...
— wołali niektórzy.

— Dobrze wybrała! To ci dziewczyna! No!
no!

Dziwowali się a pracowali, nie czując umęcze-
nia: jakby dłonie ich hartowne się stały jak stal.
Cztery godziny przetrwali w tej walce nadludzkiej
z rozkiełznanymi żywiołami. Gdy zorza świtać
zaczęła na niebie, morze falowało spokojnie, jak
piers wielkim wysiłkiem znużona.

Wiatr przycichał zwolna. Naraz rozległ się
krzyk rodosny: Ziemia!

Wszyscy rzucili swą robotę i zaczęli się tłoczyć na pokładzie. Daleko na widnokręgu zarysował się pas ciemnosiny.

Lucji, która się przyglądała z niewzruszoną wytrwołością gorączkowej pracy, zrobiło się naraż słabo ze zbyt ku wzruszenia.

Oporła się o słup drewniany i przymknęła powieki.

Hermas, który nie spuszczał jej z oka, poskoczył ku niej i chciał w pół objąć.

Krzyknęła zlekka i odtrąciła go od siebie.

Stał przed nią teraz pokorny, z głową schyloną, jak niewolnik przed władcą.

— Bóg twój jest wielki, Lucjo! — szepnęła z cicha. — Chcę uczcić go, bo on jest twoim Bogiem. Powiedz, jak mu się składa ofiary?

Lecz ona spojrzała nań surowo i odrzekła:

— Jego trzeba ukochać i wierzyć Mu bezgranicznie. Najmilszą zaś dlań ofiarą są serce czyste i prawe!

Hermas wargi zagryzł aż do krwi i zawołał porywczo:

— Więc jeśli ocalił nas wszystkich, to tylko dlatego, że wyście tu były z nami! Dla innychby z pewnością ten wasz wielki nie miał zmiłowania!

— Mylisz się, Hermasie; z jednego nawróco-

nego grzesznika większa jest radość w niebie niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych. Lecz Bóg przede wszystkim wymaga pokory, a ty jej nie masz w sercu!...

— Tymczasem korzę się przed twoją pięknoscią i dobrocią. Łucjo! Rozkaż mi zostać chrześcijaninem — zostanę nim.

— Korzyć się przed pięknoscią istoty śmiertelnej — rzekła Łucja — jest grzechem w naszym chrześcijańskim pojęciu, tylko majestat Boży go-dzien jest uwielbienia.

Wtem na pokładzie rozbrzmiała pieśń dono-śna.

Pomimo strasznego znużenia i nadludzkiej kilkogodzinnej pracy — majtkowie uczuli potrzebę wylania w ten sposób nadmiaru radości rozsada-jącej im piersi....Wydobyto zapasy i wina, racząc się nimi dosyta.

A gdy ucichły ochryple od krzyku i napoju głosy, zabrzmiała cicha z początku i niepewna, lecz dziwnie dźwięczna nuta psalmu. To Benon, nowo mianowany sternik, zanucił tę obcą wszystkim melodję. A dwa czyste głosy dziewczęce wtóro-wały mu, i popłynęła wdal tajemnicza, słodka pieśń!....

Gdy byli już blisko brzegu, spuścili łodzie.

chcąc przewieźć część pozostałych rzeczy i umieścić w bezpiecznym miejscu.

— Wsiadaj co prędzej, Hermasie! — zawołał Sewerus. — Musimy jak najprędzej załatwić nasze sprawy.

— Przecież powinien któryś z nas pozostać dla pilnowania statku — odparł ten niechętnie.

— Jakto? Nie śpieszno ci do brzegu?... — zapytał towarzysz zdziwiony. — Majus, Pambo i Amonjusz zostają — sądzę, że to straż dostateczna! Przed wieczorem wrócimy po dziewczęta, aby je przewieźć, gdy się ściemni. Tymczasem trzeba się zakrzętnąć i co rychlej sprowadzić majstrów, aby uszkodzony statek naprawili. Przecież chodziło ci o to, abyś sam naszą zdobycz na owe uroczystości Maksencjusza dostarczył... — dodał Sewer gniewnie.

— Sewerusie! — zawołał Hermas z dziwnym ogniem w oku. — Zabij mię jeśli chcesz, ale dopókim żyw, nie oddam tym bydłom dziewczyny!

— O kim mówisz, Hermasie?... Czyś rozum postradał? Potężnego Maksencjusza bydłciem nazywasz? Opamiętaj się! Miałżebyś w ostatniej chwili wyrzec się przyobiecanej nagrody?... Czy to po raz pierwszy piękne chrześcijanki ku ucieście dworaków przewozić ci się zdarza? Zi:

trzy dni rozpoczną się uczty i ofiary bogom przeznaczone.

— Pluję na wszystko — odparł Hermas porywczo. — Obrzydły mi te bożyszcza z tego samego kruszcu, co i naczynia kuchenne, odlane!...

— Czar widocznie rzuciła na ciebie ta czarooka! — zawołał Sewerus oburzony. — Możesz do tego stopnia zgłupiał, iż gotówes uwierzyć do prawdy, że ten jej Bóg nas ocalił?...

— Gdyby nie to, że kapitan Achyllas spił się jak ostatni niedołęga, byłby wyrozumiał odrazu, że jesteśmy o kilkaset węzłów od brzegu. — Trzeba było na to tylko cokolwiek zastanowienia.

— Jednak tego zastanowienia nie miał żaden z nas, i ty również, Sewerusie, stałeś bezradny — mruknął Hermas ponuro.

— Benona zabieram z sobą — ciągnął Sewerus, puszczając mimo uszu uwagę towarzysza. — Ten chłopak, chociaż okazał się bardzo pilnym i zręcznym, jednak zawadzać nam może...

— O, tak — rzekł Hermas z ożywieniem: — w tem się najzupełniej z tobą zgadzam. Wartoby nawet z nim się rozprawić w ten sposób, aby zniknął bez śladu.

— Bo to podobno chrześcijan w Aleksandrji i w całej okolicy jest moc niezliczona — dodał

Sewerus — a oni wszyscy stanowią jakby jedną wielką rodzinę. Mógłby ich zawiadomić, iż trudnimy się łowieniem gołębic z ich gołębnika! Mówią, że pomiędzy nimi są czarodzieje! Jeszczeby się nam dziewczyny rozwiały jako mgła, zanim wymienimy je na purpurę i drogie kamienie...

— Sewerusicie! — zawołał Hermas z mocą. — Bierz Julję — sprzedaj ją — daj bogom na ofiarę, jeśli ci się podoba. Ja Łucję chcę zostawić dla siebie!

Sewerus patrzył na niego w osłupieniu, poczem zaczął kląć, urągać mu i złorzeczyć, — Hermas jednak pozostał niewzruszony.

Po chwili łódź odbiła od brzegu, a Sewerus wygrażał jeszcze pięścią zdaleka, choć nikt z obecnych nie wiedział, o co właściwie poważnili się serdeczni druhowie.

Łucja i Julja patrzyły z niepokojem za oddalającą się łodzią, gdyż na niej był Benon, w którym teraz pokładały jedyną nadzieję.—Ukryły starannie daną im przez niego blaszkę, myśląc z trwogą, zali pomoc w porę nadejdzie?

Gdy podano posiłek południowy, Hermas zbliżył się do dziewcząt z wielkiem uszanowaniem i rzekł pokornie:

— Umiecie, widzę, pieśni nowe i piękne; nauczcie mię, proszę.

Spojrzały po sobie, jakby wahając się chwilę.

— Umieny tylko smutne a rzewne, a te wam będą nie do smaku — rzekła Łucja.

— Ha! Zobaczymy. I mnie chwilami bywa niewesoło i myśli mroczne napastują. Burze życia wstrząsały mną nieraz, jako tym statkiem wichher rozszalały.... Matka moja podobno też chrześcijanką była, ale jej nie pamiętam: zamordowano i ją i ojca, a mnie małym chłopięciem wzięli źli ludzie, bili, katowali, poniewierali — dopóki nie stałem się jako rozwścieczony ciągłem drażnieniem zwierz dziki! Nienawidzę zarówno pogan jak i chrześcijan, nienawidzę wszystkich ludzi.... Ty jedna, piękna Łucjo, wywarłaś na mnie wpływ dziwny od pierwszego wejrzenia. — Gdy patrzę na ciebie, wydaje mi się, że jakiś inny zupełnie człowiek pod skórą okrutnego Hermasa się budzi. Śpiewaj mi, Łucjo, lub mów do mnie, mów o swym Bogu, jeśli ci to przyjemność sprawia, bylebym mógł się napawać dźwiękiem twego głosu.

Łucja oczy miała spuszczone i ścisnęła tylko rękę Julji w milczeniu.

— Nienawidzisz mię! złorzeczysz w myśli!...

Pewno prosisz swego Boga, aby piorun cisnął na mą głowę?.... — wołał Hermas gwałtownie.

A Łucja podniosła swe wielkie, głębokie, spokojne oczy i utkwivszy je w jego rozplomienione źrenice — rzekła z mocą:

— Bóg chrześcijański każe za krzywdy odpłacać przebaczeniem. Ja prosić tylko mogę Najwyższego, aby zesłał na was łaskę opamiętania i żal za popełnione winy.

— Dziwni! zaiste dziwni ludzie! i dziwniejsza jeszcze wiara! — zawołał Hermas, pocierając czoło, jakby zdawało mu się, że śni tylko.

A dziewczęta, oplótnszy się ramieniem, zaczęły śpiewać pieśń poważną i smętną.

Hermas słuchał, muskularne swe ręce oparłszy na kolanach: brwi miał ściągnięte, a po twarzy jego przelatywały jakby płomienie!

Nad wieczorem przybyła łódź, napełniona obcymi ludźmi. Gwarno zrobiło się naraz na statku. Oglądano, stękano, opukiwano zewnętrzne ściany. Sewerusa nie było z nimi, co zadziwiło wielce Hermasa.

Pytał o niego, lecz nikt nie mógł dać mu wyjaśnienia.

Łucja i Julja przyglądały się tym ludziom,

bacznie śledząc ruch każdy, azali który z nich nie okaże się ich sprzymierzeńcem.

Wszyscy byli zajęci teraz na pokładzie; dziewczęta zeszyły do swej kajuty, a wślad za niemi, zwinny jak kot, wsunął się robotnik ogorzały, o mądrzem i przenikliwym wejrzeniu. Udawał, iż coś poprawia u drzwi, a widząc, iż są sami, szepnął pośpiesznie:

— Benon zawiadomił biskupa!... Wiedzą o waszem przybyciu... Sewerus nie powróci rychło — spojono go, leży nieprzytomny i nie obudzi się do jutra. Hermas pojedzie z wami. Nie lękajcie się — gdyż on będzie jeden, a nas jest dziesięciu. Skrępujemy go, gdy czas przyjdzie. Benona chcieli zgładzić. Umknął prawie cudem. Dzisiejszej jeszcze nocy będziecie na dworze królowny egipskiej Katarzyny. Tam was szukać nikt się nie ośmieli. Strażom pokażcie znak, dany przez Benona.

Umilkł, gdyż usłyszał zbliżające się kroki — i znikł im z oczu.

— Dzięki Niebu! — zawołała Julja radośnie — Łucjo! Jesteśmy ocalone! —

I dziewczęta padły sobie w objęcia.

Szeroko słyneła sława piękności, mądrości i dobroci z wysokiego rodu królów egipskich po-

chodzącej Katarzyny. Dziwy opowiadano o jej wielkich cnotach i niezwykłej w księgach uczonych biegłości.

Na dworze jej w Aleksandrji roiła się służebnych i dworaków moc niezliczona. Wszyscy wychwalali ją pod niebiosa, tylko kapłani pogańscy mówili ze zgorzeniem, że owa cudnej urody królowna inną niż wszyscy wiarę wyznaje i ani jednego bożyszcza w swych wspaniałych pałacach nie posiada.

Maksencjusza, który niedawno do godności "augusta" wyniesiony, przybył właśnie do miasta, drażniło wielce, że o dumnej królownie wyrażano się jednogłośnie ze czcią wielką i uznaniem. Jakim szczególnym urokiem snąć umiała przykuwać do siebie, gdyż do żadnej niewiasty, których urodę wielbiono, nie lgnęły tak serca; przy Katarzynie gasły wszystkie inne, chociaż przepychem strojów i świetnością zaćmić się ją starały.

Maksencjusz rad z nowo odniesionego zwycięstwa nad nieprzyjacielskimi hufcami, postanowił wyprawić festyn niezwykły, połączony z wielką aroczystością pogańską, w mieście Aleksandrji.

Rozkazał, aby się zebrały tłumy ludu z całego kraju; tajemnie było ułożone, że najpiękniejsze dziewczice mają być sprowadzone z różnych najod-

leglejszych stron, w nadziei iż ten orszak olśniewających urodą, a cześć bogom oddających niewiast wprawi w zachwyty całe miasto, i że przestaną nakoniec głośić wyłącznie pochwały dla pięknej Katarzyny.

Ulice, wiodące do świątyni, posypać miano pachnącem kwieciem tak, iżby zapach ich odurzający roznosił się daleko. Spędzono tyle bydła na ofiarę przeznaczonego, iż trudno było je pomieścić w obrębie miasta. Różnobarwne tłumy snuły się wszędzie w oczekiwaniu niezwykłych widowisk.

Śpiewacy stroili lutnie; harfy, cymbały, piszczałki — rozbrzmiewały dokoła. Żołnierze w skóry lub pancerze przystrojeni, pokazywali z dumą swe blizny, opowiadając dziwy o swych triumfach i świeżo odniesionem zwycięstwie. Każdy miał coś do powiedzenia o młodym wodzu Laurencjuszu, który odznaczył się męstwem i walecznością niesłychaną.

Jakiś gorączkowy a świąteczny nastrój panował w całym mieście.

Porfirjusz, naczelny wódz wojska, wydawał rozkazy, szykował szeregi, które miały okrzykami witać przejeżdżającego władcę. Młody Laurencjusz, przyboczny Porfirjusza, dopomagał mu z zapalem, gdyż serdecznie do swego naczelnika

był przywiązany. Tylko w pałacu Katarzyny panowała niczem niezamącona cisza. Przejmowały ją wstrętem pogańskie obrządki, uroczystości szumne, tłumne, krzykliwe, bezładne.

Lucja i Julja znalazły u tej przezacnej królowny nie tylko schronienie, lecz prawdziwie siostrzaną opiekę. Podziwiały jej słodycz niesłychaną, umysł głęboki w połączeniu ze skromnością dziewiczą i prawdziwie chrześcijańską pokorą. I ona też uczuła życzliwość wielką dla swych młodych towarzyszek, które szczęśliwym trafem udało się jej z mocy złych ludzi wybawić. Miano tylko przeczekać tę uroczystość, która w całym mieście sprawiała zamęt niesłychany, i zaraz potem zając się odesłaniem dziewcząt do rodziny, pod strażą ludzi pewnych i zaufanych.

Lucja i Julja, aczkolwiek z radością myślały o powrocie, — wyznawały szczerze, że im tęskno będzie za tą dobrą, słodką królowną, z którą zostać się będą zmuszone.

Nadszedł dzień na bałwochwalcze ofiary. Palono bydło na stosach, a przykra woń spalonego mięsa dolatywała aż do pysznego ogrodu, otaczającego pałac Katarzyny. Tłum wydawał dzikie okrzyki. Ogłuszająca muzyka i śpiewy głośiły, że sam Maksencjusz do świątyni podąża.

Katarzyna stała na marmurowym krużganku i patrzyła w dal, z okiem rozplómiętym, z dziwnym skupieniem na twarzy.

Snać rozmyślała o czemś bardzo ważnem, gdyż nie zauważyła, jak jej lutnię podawała Julja, a Łucja, wpatrując się w jej twarz promieniejącą, zapytała zcicha:

— Azaliż dużo jeszcze czasu upłynie zanim świat cały pojmie Chrystusa i oceni? Katarzyna stała wciąż wzruszona jakąś myślą niezwykłą. Naraz jak gdyby echo słów Łucji dopiero teraz doszło jej ucha, zawołała:

— O, tak! Przyjdzie królestwo Boże na ziemi! Upadną wkrótce bałwany, które czcić każą tłumowi pod karą mąk i tortur! — Pójdę! Stanę przed nimi i w twarz im rzucę całą prawdę — przedstawię całą ohydę ich postępowania....

Dziewczęta patrzyły zachwycone, ale zarazem przerażone śmiałem postanowieniem Katarzyny.

— Pójdziemy z tobą, królewno. — zawołała Łucja, przypadając do jej kolan, a Julja chciała rękę jej ucałować, lecz ona ujęła ją w ramiona i rzekła słodko:

— Jam przecie siostra wasza w Chrystusie....

U wyjścia ze świątyni Serapisa tłoczyły się tłumy, rozkołysane jak fala, potrącające się, wy-

grążające, lub przerażone. Snać zaszła rzecz niesłychana, gdyż Maksencjusz opuścił świątynię z okiem rozplómonionem i w niezwykłym podrażnieniu.

Nie gniewem jednak twarz mu pałała: było w niej jakieś olśnienie, jak gdyby mu się ukazało nadziemskie zjawisko.

Lud tłumaczył sobie rozmaicie to zachowanie się władcy. Stało się to przed chwilą zaledwie, a już opowiadania przybierały jakieś bajeczne rozmiary. Naoczni świadkowie wreszcie przynieśli wieść, która popłynęła szeroko, podawana sobie z ust do ust przez lud zadziwiony.

Katarzyna, której noga nigdy dotąd nie powstała w pogańskiej świątyni, kazała się wieść przed potężnego Maksencjusza i objawiła, iż mu coś ważnego ma do powiedzenia.

A była tak olśniewająca urodą i majestatem, że władca patrzył zdumiony i wzroku od niej oderwać nie mógł.

Padały słowa gorące z ust królowny; mówiła, jak bałamutnem jest to wszystko, w co wierzyć rozkazuje, zmuszając, aby posągi, stawiane ludziom śmiertelnym, jako bogów czcili!

Mówiła o Bogu prawdziwym, który ukarze go za to w przyszłym życiu, i o wyższości wiary

chrześcijańskiej nad owem zabobonów pełnem bałwochwalstwem!....

Cicha i nielubiana przez męża Faustyna, żona cezara, słuchała słów Katarzyny w niemem uwielbieniu.

Cisza zalegała wielka. Wszyscy czekali w skupieniu, co Maksencjusz odpowie.

Ale on jej pięknnością i wymową olśniony, zwrócił się do Porfirjusza, ulubionego swego wodza, i szepnął tylko:

— Przepyszna!.... Wspaniała!.... Boska!.... Wszystko, co mi o niej mówiono, niczem jest w porównaniu z tem, co na własne oczy dziś oglądam!....

Porfirjusz nie wiedział sam, jak się ma zachować wobec tego, co mówił władca.

Wtem, stojący tuż obok Laurencjusz rzucił się ku niemu i chwytając go gwałtownie za rękę, zawołał:

— To one!.... To one!.... w orszaku królowny!. Co to jest? Co to znaczy?.... W głowie mi się mąci!....

Porfirjusz nie rozumiał tego okrzyku, i groźnem zmierzył go spojrzeniem.

Dzielny wojak, do rygoru nawykły, cofnął się, lecz wzroku nie mógł oderwać od Julji i Łucji,

które stały blade, wzruszone, drżące, oczy miały spuszczone, zdawało się, że nie widzą, co się wo-koło nich dzieje....

Nikt jednak nie zauważył zachowania się Laurencjusza, gdyż wszystkich oczy były zwrócone na władcę. Zdawało się, że Maksencjusz, znany ze swej srogości względem chrześcijan, wpadnie w gniew wściekły, on jednak wpijał się tylko w Katarzynę chciwemi jak zwierz oczami, i rzekł zwo-
na:

— Nie miejsce tu na rozprawy; musimy przedewszystkiem rozpoczęte obrzędy dokończyć; potem zawezwę cię do siebie, i tam zobaczymy, kto kogo przekona!

Katarzyna zmierzyła go pogardliwie spojrze-niem, poczem schyliwszy głowę w milczeniu, od-daliła się za swoim orszakiem.

— Szlachetny Porfirjusz! Uczyn tak, ażebym ja był wysłany do pałacu królowny Katarzyny!— zawołał Laurencjusz wzruszony, gdy już wracali ze świątyni.

— Co?... I ty zdaje się straciłeś głowę — od-rzekł stary wódz opryskliwie — Pocóż mi ryknął nad uchem w świątyni, jakbyś ujrzał jakie dziwo?

— Siostra moja i krewna tam były w orszaku! Pałam niecierpliwością ujrzienia ich co prędzej. Co

to się stało?... Czyżby ojciec mój Tuljusz już nie żył?...Kto mógł je opiece królowy powierzyć?...

Porfirjusz wzruszył ramionami.

Dzień ten był dla niego obfity w wypadki. Za ledwie powrócił do swego mieszkania, Faustyna kazała go przywołać do siebie, co się zdarzało tylko w wyjątkowych okolicznościach.

Poczęła mu przekładać i prosić, aby starał się gniew Maksencjusza łagodzić, w razie gdyby się na Katarzynie mścić zamierzał.

Wiadomo było wszystkim, że zasłużony Porfirjusz miał wielkie u dworu znaczenie. On jeden nie lękał się porywczych wybuchów kapryśnego władcy, i niekiedy mu się zdarzało nawet wpływ na niego wywierać.

Stało się tym razem, jako żądał młody wojak. Został bowiem wysłany tegoż dnia jeszcze do pałacu Katarzyny, aby objawić jej, że Maksencjusz mówić z nią pragnie.

Mocno biło serce Laurencjusza, gdy przestępował próg owej jakby zaklętej siedziby.

Jako poganin wierzył w zabobony, naraz, gdy wchodził do perystylu czyli podwórza, przyszło mu na myśl, że może Katarzyna jest czarodziejką i że jakąś tajemną mocą potrafiła Łucję i Julję przenieść do swego pałacu.

Gdy go wprowadzono do wielkiej na sposób staroegipski przybranej komnaty, ujrzał Katarzynę, która odrzuciwszy swe wspaniałe stroje, w skromnej białej szacie siedziała, otoczona towarzyszkami, i czytała im głośno, a one, wpatrzone w nią z zachwytem, słuchały w skupieniu.

Na widok Laurencjusza, Łucja i Julja wydały okrzyk radości i zdumienia. On zaś, skłoniwszy się królownie i wyraziwszy w pięknych i pełnych uszanowania słowach polecenie z jakim przybywał, oddał się całej radości odnalezienia drogich sercu istot.

Pytaniom i okrzykom zdziwienia nie było końca. Musiały mu opowiadać ze wszystkimi szczegółami swe dziwne przygody.

Katarzyna zauważyła, jak groźnie brwi zmarszczył, dowiedziawszy się, że powodem wszystkiego było przejście się dziewcząt w tajemniczy zasadami chrystjanizmu.

— O! gdybym ja był wtedy w domu — zawołał nagle, mimowolnym ruchem ściskając rękojeść miecza, nigdybym nie dopuścił, aby do tego przyszło.

— Najdziwniejszemi nieraz drogami Bóg służy swoje do celów wiedzie — rzekła Katarzyna z niezrównaną słodyczą. — Serce twe zacne jest i

prawe, szlachetny Laurencjuszu, więc sądzę, że i ono skłonnt byłoby do przyjęcia naszej wiary. Wszakże nawet wasz bożek ulubiony, Apollo, przez usta jednej z wrózek Sybilli powiada:

— Przyjdzie jeden na tę ziemię i bez grzechu stanie się człowiekiem, a bóstwem swoim skazy wrzodów niezleczonych naprawi; którego z zazdrości lud niewierny na drzewie wysoko zawiesi, jakby śmierci godnego!

I mówiła mu jeszcze długo o wzniosłych i pięknych prawdach nowej wiary. Przyczem Laurencjusz zauważył, że i wszystkich mędrców pogańskich księgi obcemi jej nie były.

Katarzyna zezwoliła łaskawie, aby bez opowiadania się strażom, a nawet wielkiemu ochmistrzowi, mógł wchodzić swobodnie do pałacu dla widzenia się z siostrą. Nie uszły uwagi Laurencjusza niezwykła radość i ożywienie Julji, gdy go ujrzała niespodzianie. Dotąd nawykł patrzeć na towarzyszkę Łucji jako na drugą siostrę, dziś po raz pierwszy, wobec tego, iż mógł być utracić ją bezpowrotnie, zauważył, że sprawiłoby to pustkę ogromną w jego sercu, i że Julja stała mu się teraz miłszą i bliższą stokroć niż dawniej.

Maksencjusz rozparty na przepyszneznem wzniesieniu, przybrany w purpurę i złoto, oczekiwał

przybycia pięknej królowy. Niezrównana jej krasa wywarła na nim piorunujące wrażenie. O niej tylko mówił, myślał, jej obraz miał wciąż przed sobą.

A kiedy Katarzyna stanęła przed nim wyniosła i dumna, snąć zupełnie mu się w głowie zamroczyło. Słuchał niby z uwagą mądrych i pięknych słów, które płynęły z jej ust koralowych, lecz tylko dlatego, iż głos ten sprawiał na nim wrażenie precudnej muzyki, a oczy, płonące świętym zapałem natchnienia, budziły w nim szaloną żądę posiadania na własność tej wspaniałej a tak niepodobnej do wszystkich, jakie widział dotąd, dziewczyny.

I mówił jej rzeczy bezładne, groził, prosił, zaklinał, obiecywał, iż będzie dla niej stawiał ołtarze, że czcić ją będzie jako boginię. jeśli żoną jego zostanie.

— Faustyna jest mi wstrętną — dodał w końcu. — Z tobą jedną tylko chcę odtąd tron mój dzielić i sławę! Lecz wyrzec się musisz, o boska, tej potępione, śmiesznej swej wiary...

A ona niewzruszona opowiadała o Bogu nieśmiertelnym, o Chrystusie, który rzekł przez proroka:

— “Zgubię mądrość mędrców, a rozumy rozumnych odrzucę!....”

— Nie zdarzyło ci się widać z mędrcami prawdziwymi obcować — zawołał Maksencjusz w oburzeniu — a oto sprowadzić ci każę takich, którzy cię o fałszywości twych wierzeń przekonają!

— Nikt nie jest zdolny tego uczynić! — odparła królowna z mocą.—Nie złękę się, choćbyś mi kazał powtórzyć me słowa wobec całego świata i wszystkich mędrców tej ziemi!....

I odeszła pogodna, wyniosła — i nieulękciona.

Po tej rozmowie, na dworze Maksencjusza zapanował zamęt nie do opisania. Władca był wściekły; chwilami gniew swój posuwał do okrucieństwa; dręczył tych nawet, którym zda się sprzyjał dotąd, wydając najstraszniejsze i potwornie niesprawiedliwe wyroki.

Rozeszła się wieść, iż przybędą wkrótce ze wszystkich stron kraju wezwani mędracy i uczeni. Do pięćdziesięciu z nich wysłano gońców z rozkazem jak najszybszego przybycia.

Dzielny Porfirjusz chodził chmurny i oburzał się w głębi swego szlachetnego serca na niesłychaną samowolę i gwałty Maksencjusza. Cicha, łagodna Faustyna zalewała się łzami! Laurencjusz

przebywał po kilka godzin w pałacu Katarzyny i były to najszcześniejsze dla niego chwile.

Tam jedynie teraz panowała cisza i spokój. Mówiono tylko o rzeczach wzniosłych, o czynach zacnych, o poświęceniach bez granic....

— Dosyć już miałem widoków mordów, okrucieństw i zbrodni!.... — mówił Laurencjusz.

Wszystko co było w nim szlachetnego, wzdrygało się na myśl, że sam nieraz był ślepem narzędziem w ręku nieokiełznanego w swych dzikich pomysłach władcy i pana. Słuchał w jakimś rozkosznem rozmarzeniu hymnów pobożnych, jakie śpiewała Łucja, grając na harfie. Wpatrywał się z coraz większą lubością w głębokie, szafirowe oczęta Julji, w których czytał, jak w otwartej księdze, szczerę i niezmiernie do siebie przywiązanie.

Aż dnia pewnego wezwano Katarzynę, aby wobec wszystkich uczonych broniła wiary Chrystusowej. Dziewczęta oczekiwały z niepokojem powrotu królowny. Wtem Laurencjusz wpadł nad wieczorem do pałacu przerażony, blady — oczy jego pałały jeszcze grozą widzianych przed chwilą obrazów.

— Wszyscy zginą!.... Wszyscy zginą!.... Kamień na kamieniu nie pozostanie w tem mieście! — wołał, włosy rwąc na głowie z oburzenia. — Roz-

palają stosy! Wielcy uczeni i mędracy, zawezwani przed Maksencjusza, nie zdołali przekonać szlachetnej Katarzyny. Wszyscy poddali się prawdzie jej słów i czarowi jej wymowy — zostali skazani na stos!.... Królowna nie wróci już do swoich pałaców — uwięziono ją przed chwilą! Zamordują królownę. Uciekajmy stąd co prędzej!.... Zabieram was, i dziś jeszcze ukradkiem w nocy odpłyniemy w kraje dalekie, gdzie nas zemsta tego okrutnika nie dosięgnie! Porfirjuszowi zwierzę się tylko z mego postanowienia. Gotujcie się do drogi! a żywot!

— Jakto — zawołała Łucja z uniesieniem. — Sądysz, że opuścimy królownę naszą w tem groźnem położeniu?....

— Nigdy! Przenigdy!.... Nie możesz wymagać tego od nas, Laurencjuszu — mówiła Julja, zalewając się łzami.

— Raczej zginiemy z nią razem — dodała Łucja — i szczęśliwe będziemy, umierając za wiarę!

Laurencjusz patrzył na nie w niemem osłupieniu. Tyle bohaterstwa w tych słabych i wątplych istotach, na które przywykł patrzeć jak na potulne dzieci, wydawało mu się czemś niepojętem.

Całe miasto mówiło wciąż tylko o uwięzieniu królowny. Podawano sobie z ust do ust coraz straszniejsze wieści. Cudnej piękności ciało jej

rozkułano siec żyłami wołowemi przez dwie godziny. Płynęła krew, lud płakał, a z dniem każdym, coraz więcej nawróconych przybywało na łono Kościoła.

Powiadano, że na dni dwanaście skazana jest królewna na męki głodowe, a tymczasem okrutny a chciwy łask władcy Chursasadem doradził maszynę jakąś piekielną zbudować. Miały to być cztery koła z ostremi mieczami i nożami, aby na nich ciało Katarzyny rozciągnąć i rozszarpać w kawały.

Łucja i Julja w trwodze śmiertelnej, w łzach i modlitwie spędzały dnie i noce. Nie dozwolono im, ani też służebnym towarzyszyć królewnie do więzienia.

Był to rodzaj łaski gorszy dla nich od tortury. Obawiały się, aby Katarzyna nie posądziła ich o tchórzostwo, obojętność i odstąpienie jej w tak wielkiej niedoli.

Laurencjusz tylko codziennie przynosił coraz gorsze i smutniejsze nowiny.

Jednego wieczoru nie przyszedł o zwykłej porze. Dziewczęta chodziły od okna do okna, pytając się wzajemnie wzrokami pełnym niepokoju, coby to znaczyć mogło?....

Przez całą noc nie zmrużyły oka.

Nie mówiły już z sobą nic prawie, bo każde słowo gorszą jeszcze budziło w sercach żalność.

Aż naraz Julja zerwała się na posłaniu i zawołała głosem dziwnie wzruszonym:

— Łucjo.... czuję, że się dzieje coś nadzwyczajnego!.... Przysięgłabym, że widziałam Lauren-cjusza, któremu królowna rękę na głowę kładzie, a on krzyż święty całuje!.... A przecież nie spałam ani chwili! Łucjo!.... Najdroższa!.... Teraz wierzę, że Laurencjusz zostanie chrześcijaninem!.... Boże! Oświeć go!.... Natchnij swą łaską, lecz wybaw od męczarni!....

Głowa Julji płonęła, oczy patrzyły gorączkowo.

Łucja usiadła przy niej i słodkimi słowy uspokajała, chociaż sama także czuła niewysłowioną trwogę w duszy....

W tej chwili, gdy Julja opowiadała towarzysze swe dziwne widzenie, w podziemnem więzieniu aleksandryjskiem rozgrywała się wzruszająca scena.

Do ciemnicy, w której od dni dziesięciu przebywała Katarzyna, drzwi się otwarły cicho i stanęła w nich kobieta, otulona w ciemną opończę, jaką nosiły strażę. Za nią zarysowała się wyniosła postać, w której Katarzyna poznała naczelnę-

go wodza wojsk, Porfirjusza, a nieopodal stanął nieśmiało znany jej dobrze Laurencjusz.

— Zaliż już przyszli po mnie i na śmierć mię wiedą? — pomyślała, aż nagle kobieta owa, odrzuciwszy płaszcz swój, padła w jej objęcia.

— Miłuję cię, o ty królewno umęczona! — wołała przez łzy, — i umiłowaniem Tego, dla którego cierpisz te okrutne prześladowania. Jam jest Faustyna, żona Maksencjusza, chcę ci być siostrą, chcę z tobą los twój podzielić.

W twardem życiu żołnierskim skamieniałe zda się serce starego wodza Porfirjusza wzruszyło się do głębi na ten widok.

Łza zakręciła się w jego oku, wsparł dłoń na ramieniu Laurencjusza i głowę pochylił w milczeniu.

Błada, niby cień tylko owej wspaniałej i dumnej Katarzyny, stała przed nim cudna, jaśniejąca mimo to jakąś nadziemską jasnością, królewna.

— Jakżem szczęśliwa, że mi Bóg pozwolił widzieć cię nawróconą! — wyrzekła z radością niezmierną. — Teraz poznasz, że rozkoszą jest cierpieć dla Tego, który tyle dla nas wycierpiał na ziemi. Pozostało ci niewiele, zaledwie parę dni życia tylko, — dodała proroczem owładnięta natch-

nieniem — ale Bóg łaską cię swoją oświecił, abyś mogła przyszlą cieszyć się nagrodą.

I mówiła długo o wzgardzie świata, o marnościach doczesnych, do których tak wielką ludzie wartość przywiązywać zwykli, wtem nagle u swych kolan ujrzała pochylonego wodza Porfirjusza i dzielnego Laurencjusza, który kraj jej szaty do ust przyciskał.

— My z tobą, królowo nasza! my z tobą na śmierć czy życie!... — wołali, drżąc ze wzruszenia.

— Chcemy przyjąć Chrzest święty! Precz pogańskie bogi!... Precz fałsz i obłuda!... Chcemy być żołnierzami Chrystusa!...

Wzruszenie udzieliło się strażom, szmer uwielbienia przebiegł wśród obecnych; żołnierze mówili złośnie, że pójdą za przykładem swych wodzów.

Wtem przez drzwi wpół otwarte wsunęła się jakaś postać ponura i zgnębiona, od progu na kłęczkach się posuwając, aż przed Katarzyną pochyliła się do ziemi.

— Zdepcz mię, nędznego robaka, o, ty z najmężniejszych najmężniejsza, jam jest grzesznik wielki, teraz pokutę czyniący, chcę resztę życia w postach i modlitwach w dzikiej puszczy przepędzić.

Widziałem gdy cię biczowano, sądziłem, że

twe katúsze rozkosz mi sprawiać będą, gdyż żal miałem w sercu, żeś Łucję ukryła u siebie i podstępnie rozkazała wyrwać z mej mocy!....

Ale gdym patrzył na ów spokój niewzruszony, rozlany na twej twarzy, powiedziałem sobie, że wielką i wszechpotężną jest ta wiara, która ci daje siły!

Przejrzałem i uwierzyłem w Boga jedyneho.

Dziś jam pokutnik, który przywdział włosienicę i w niej do końca życia pozostanie.

Byłem nikiemny i dziki i gdybym trzy razy żył, jeszcze za małoby mi było tego czasu, aby odpokutować swe grzechy, Imię moje Hermas. —

Zaczęto mówić coraz głośniej, że Maksencjusz oszalał....

Wypadki następowały po sobie z gwałtownością niesłychaną.

Pieczono, palono, katowano ludzi z obojętnością, na jaką tylko pogańskie wieki zdobyć się były w stanie. Maszyna piekielna, którą dla zastraszenia, a następnie dla torturowania Katarzyny ustawiono, rozpadła się w kawały.

Wtedy Maksencjusz rzucał się, pieniał i wołał, że radby świat cały chrześcijański mieć pod swemi stopami w postaci jednego człowieka, aby go zdeptać; zgnieść i prochy jego rozwiać bez śladu.

Wrażenie przygnębiające wywarły na największej zatwardziały ch poganach udręczenia, na jakie skazał okrutny Maksencjusz znienawidzoną przez siebie Faustynę za to, iż się ośmieliła wstawiać do niego za Katarzyną. Wiekiem od skrzyni pierś nieszczęsnej przyciśnięto i włóczono ją na hańbę i pośmiewisko, aż wreszcie nieprzytomną prawie z bólu wiedziono na ścięcie.

W przeciągu dni kilku przelano tyle krwi niewinnej, iż budziło to odrazę i niesmak nawet w nawykłych do dzikich widowisk barbarzyńcach.

Jeszcze większą grozą przejęte zostały tłumy, gdy zasłużony Porfirjusz wraz z dwustu pretorjanami został skazany na ścięcie. Szli śmiało na śmierć z głową podniesioną, wielbiąc Pana nad Pany!

Laurencjusz znikł bez śladu. Nie zauważono tego narazie, gdyż lęk i groza opanowały wszystkie umysły, każdy myślał tylko o sobie.

Listopadowe niebo, ciężkimi chmurami zasnutę, wydawało się równie smutne jak ziemia krwią przesiąknięta.

Dziki rozpasanie dochodziło, zda się, do ostatecznych granic.

Spadały głowy jedna po drugiej, tępiły się miecze katowskie, nikt nie był pewien jutra.

I jeszcze raz okrutny Maksenjusz, w swym szale nienasycony, próbował Katarzynę do odstępstwa nakłonić.

Rozumiejąc, że jedyną potęgą na ziemi jest siła, sądził, że się tej wszechwładnej jego mocy ulęknie.

A ona błagała tylko Boga o rychłą śmierć...

Czuła, że władza, jaką posiadał Maksencjusz, niczem jest wobec tej, jaką wywierały przykłady śmierci szlachetnych i mężnych męczenników.

I szła teraz sama na męczeństwo, pogodna, jasna, promienna — a dając głowę pod miecz katowski, mówiła jeszcze:

— Dzięki Ci, Panie Jezu Chryste! za wszystkie Twe łaski! Wejrzyj, Boże mój, na lud ten, aby Cię poznał i wielbił na wieki!

Kiedy spadła głowa mężnej dziewicy, rozdzierający krzyk dał się słyszeć. Julję zemdloną wyniósł Benon na rękę i znikł w tłumie — Łucja stała martwa, blada, jakby w bólu skamieniała...

Szlochały niewiasty, jęczyli starce i dzieci kaci nawet chylili głowy w zawstydzeniu, tłum sarkał, złorzeczył tyranom, i głośno pogańskim bogom urągał.

Miesiąc upłynął prawie od owych strasznych wypadków. W całym kraju panowała trwoga i

przygnębień, chrześcijanie gotowali się w ukryciu do obchodzenia pamiątki Narodzenia Chrystusa Pana.

W małej wiosce rybackiej, w dość znacznem od Aleksandrji oddaleniu, stała chatka ustronna.

W niej przy ognisku stary rybak o twarzy ogorzałej naprawiał starannie sieci. Młodzian jasnowłosy uwijał się po izbie i co chwila niespokojnie spoglądał ku drzwiom, jakby oczekując czyjś przybycia.

— Próżno się niepokoisz, Benonie — rzekł starzec — lepiej dopomóż mi oto przymocować sznury, bo na moje stare siły to już za ciężka praca.

Ktoś się poruszył na łożu. Benon palec do ust przyłożył.

— Cicho, dziaduniu!... Cicho! Obawiam się, aby Julji nie obudzić! z nią trzeba się teraz jak z małym dzieckiem obchodzić!...

— Biedactwo!... Tyle się to nacierpiało — rzekł stary — nie dziw, że się jej rozum pomiechał! Toć i starszemu trudno dzisiaj wytrzymać na świecie!

— Laurenciusz przyprowadzi tu Łucję za chwilę — mówił Benon — dzisiejszy wieczór obiecała spędzić z nami, ostatni wieczór, gdyż jutro

spełni się jej gorące pragnienie i uroczyście habit zakonny przywdzieje.

Zaledwie to wyrzekł, drzwi skrzypnęły i weszła Łucja, wsparta na ramieniu brata.

— Jak się ma Julja? — zawołał Laurencjusz z niepokojem, zaledwie przestąpili próg domu.

— Mój dobry Benonie, dziękuję żeś przyszedł, nie można jej zostawiać w samotności ani na jedną chwilę.

— Śpi, śpi wciąż — rzekł chłopak chyłąc głowę — to i lepiej, bo może się wreszcie uspokoi.

Julja zerwała się nagle i obłąkanym wzrokiem wodziła dokoła.

— Krew! krew! Wszędzie krew! — wołała nieprzytomnie. — Morze łez! Morze krwi!.... Zabili ją!.... Świętą zabili! Cud się stał!

Widziałam, jak mleko białe, bieluchne, polało się z jej rany.

Faustyny niema — Porfirjusza niema!

Wszędzie krew!.... krew!.... I Łucję zabijają, Laurencjusza zabijają! — wszystkich pomordują!....

Matko!.... matko!....

Wyprężyła się i wyciągnęła ręce przed siebie jak gdyby ujrzała jakieś zjawisko.

— Juljo!.... Moja ty najmilsza! skarbie mój — mówił Laurencjusz, obejmując ją ramieniem i gładząc jej jasne, rozplecione włosy. — Uspokój się, ptaszyno ty biedna!

Ale Julja patrzyła wciąż nieprzytomnie i drżała cała jak w febrze.

Łucja i Laurencjusz podtrzymywali ją i uspokajali jak dziecię strwożone i chore, aż wreszcie złożyła głowę na piersi Łucji i łkała cicho:

— Krew! krew! Wszędzie krew! — powtarzała jakby we śnie.

— Benonie! — mówił Laurencjusz głosem przyciszonym. — Czy statek nasz gotów do drogi?

Musimy wyjechać jak można najspieszniej! Tu każdy dzień naraża nas na niebezpieczeństwo. Wiem już, że mnie śledzą. Gdyby mnie schwytano, co się stanie z tem dzieckiem? Trzeba ją ratować!... Wyjedziemy daleko, gdzie nas nikt nie zna, tam gdzieś w zacisznym ustroniu znajdziemy schronienie. Sprowadzę Klaudję, może widok matki zbawiennie na nią oddziała?...

— A ja tu modlić się będę o wasze szczęście — szepnęła Łucja:

Jutro przywdzieję habit i będę pocieszała chorych i strapionych. Pozdrów ode mnie ojca naszego, gdy go jeszcze kiedy będziesz oglądał; niech mi przebaczy żeń go zasmuciła mimowoli. Będę prosiła Najwyższego, aby mu zesłał chociaż w ostatnich chwilach życia pociechę nawrócenia się, abyśmy się z nim mogli połączyć w przyszłym życiu!...

Na dworze wiatr wył przeraźliwie, mała gromadka siedziała u wezglowia chorej, pogrążona w smutnych rozmyślaniach.

Stary rybak wzdychał zcicha, Laurencjusz, z rękoma splecionemi na kolanach, wyglądał jak posąg boleści.

Lucja tylko miała wyraz twarzy poważny lecz spokojny i jakby natchniony.

W tej chwili, w ciemności nocy, u progu ubogiej lepianki zarysował się cień jakiś. Owinięty w grubą ciemną opończę, stał tam ten sam pokutnik Hermas, któregośmy widzieli po raz ostatni czółgającego się u nóg Katarzyny.

Szedł zwolna w pewnem oddaleniu, wówczas gdy Lucja z Laurencjuszem powracała z domu modlitwy i widział jak wchodziła do chaty rybaka.

Sledził ją od dni kilku, wiedział, że odwiedziła biskupa, powiedziano mu, iż nazajutrz szaty zakonne przywdzieje.

Opanowała go teraz chęć niepohamowana ujrzenia jej raz jeszcze, chciał, aby te rysy drogie wyrły się na wieki w pamięci, zanim odejdzie samotny w puszcę, jakby zmarły dla świata.

Wicher gwałtowny miotał jego płaszczem na wsze strony. W duszy jego toczyła się teraz walka zacięta. Pragnął widzieć Lucję, z całą gwałtow-

nością swego nieposkromionego jeszcze charakteru, ale w głębi duszy szeptał mu głos jakiś: Odejdź! zostaw ją w spokoju!.... Wyrzecz się tego grzesznego pragnienia.

I stał oto w rozterce, sprzecznymi myślami targany, wiedząc, iż ona jest tak blisko, a zarazem stracona dla niego na zawsze!....

Wszakże byłoby dziełem jednej chwili: pchnąć te drzwi, stanąć przed nią, paść na kolana, powiedzieć jej, że to ona zwróciła go z drogi występku, że jej zawdzięczać będzie zbawienie, jeśli je kiedykolwiek osiągnie w przyszłym życiu. Ach! Gdybyż usłyszeć słowo pociechy z tych ust dziewczycy, słowo otuchy i pocieszenia!.... Onaby mu nie odmówiła tej słodkiej pociechy w imię tego, co wszystkim skruszonym przebacza!....

Pokusa była silna, ale głos wewnętrzny, głos surowy mówił mu: — Odejdź! Wyrzecz się tej myśli!.... Będzie to pierwsza próba, zali wytrwasz na drodze pokuty.

Mijały godziny długie jak wieczność.

A Łucja, siedząc u ogniska wpatrzona w ulatujące iskry, nie domyślała się, że nieopodal młody pokutnik cierpi czyścowe katusze. Że myśli jego rozhukane jakby wichry pustyni biły się, szalały i w skołatanej głowie tworzyły zamęt nieopisany.

Ale Hermas zmógł siebie. Żelazną wolą opanował ostatnie pragnienie serca.

Z głową na piersi schyloną, szedł teraz w dal nieznaną, dobrowolnie na wieczną samotność skazany....

Chwilę jeszcze migocące w okienku słabe światło opromieniało mu drogę— niby gwiazda błada, aż zniknęło mu z oczu, zniknęło jak ona!... Na zawsze!....

Okręt, kierowany przez Benona, oddalał się szybko.

Unosił od tych brzegów dwoje ludzi, których związały losy na dolę i niedolę.

Już dni kilka trwała podróż, Laurencjusz troskliwą opieką otaczał Julję, patrzył z miłością i trwogą w te oczy jasne, przezrocze jak fale morza, które pruć teraz statek.

Oczy te jednak zdawały się nic nie widzieć, co się działo dokoła.

Otwarte szeroko, zda się, wciąż miały tylko przed sobą obrazy straszne, przejmujące grozą i trwogą.

— Krew!.... krew!.... wszędzie krew, wszędzie łyż!.... — to były jedyne słowa, które wymawiała Julja od dnia męczeństwa królowny Katarzyny.

Ale Laurencjusz nie tracił nadziei.

Wierzył teraz w nieograniczone miłosierdzie Boże — wierzył, że On mu ją powróci....

Noc była jasna, gwiazdzista, pogodna.

Laurencjusz wyprowadził na pokład Julję, otulając ją jak dziecko w płaszcz szeroki.

Benon przyniósł lutnię i przy jej dźwiękach począł nucić psalm. Był to ten właśnie, który śpiewały z nim razem Łucja i Julja po szczęśliwie zakończonej burzy.

Julja, która zdawała się być obojętną na wszystko, zwróciła nagle głowę w stronę, skąd głos pochodził, i wsłuchiwać się zaczęła w dźwięk pieśni, jakby obudził on w jej duszy jakieś błogie wspomnienie.

— Śpiewaj dalej, Benonie!....Śpiewaj jeszcze!....
—wołał Laurencjusz, ucieszony iż widzi pierwszy brzask budzącego się życia w oczach ukochanej.

Wtem Julja zaczęła nucić zcicha tę samą pieśń.

Oczy miała utkwione w niebo i śledziła bacznie gwiazdy, jak gdyby po raz pierwszy widziała je w życiu.

Wtem, na ciemnym tle lazuru, wspaniały meteor zarysował wielki krąg. Kilka sekund trwało to świetlne zjawisko.

Julja ręce skrzyżowała na piersiach, uśmiech niezmiernej błogości rozchylił jej usta.

— Królowna Katarzyna! Tam!.... tam!.... Widzę ją!.... Błogosławi mi!.... Jakam ja szczęśliwa!.... Królowno nasza!.... Królowno!!!

Laurencjusz, zaniepokojony gwałtownym wybuchem, ujął ją w ramiona.

Oczy miała przymknięte, oddychała ciężko.

Nagle wyprostowała się, przetarła czoło, jak gdyby budząc się z długiego snu, i wyszeptała trwożnie:

— Gdzie ja jestem?.... Dokąd mię wiozą?.... Gdzie Łucja?....

A ujrawszy przy sobie Laurencjusza zawołała radośnie:

— Boże wielki!.... Więc to prawda?.... Ty żyjesz mój dobry!.... mój miły!.... Nie zabili cię — i tuliła się do jego ramienia, płacząc rzewnie.

— Nie, dziecko!.... Nie, moja malutka!.... Jesteśmy ocaleni!.... Bóg sam chce, abyśmy byli szczęśliwi, gołąbku ty mój biały!....

— Dzięki niech będą Najwyższemu! — wołał Benon, dzieląc wielką radość Laurencjusza.

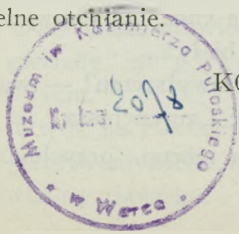
Julja, chociaż osłabiona mocno, przychodziła szybko do zdrowia.

Powietrze morskie działało na nią ożywczo i kojąco zarazem.

Okręt wiózł ich na wybrzeże Hiszpanji, gdzie pod opieką cezara Konstantyna mogli przebywać bezpiecznie, gdyż był on wrogiem zaciętym Maksencjusza, a wiary chrześcijańskiej sprzymierzeńcem.

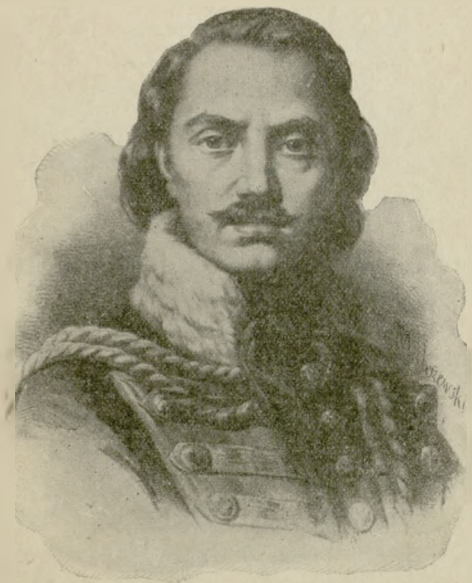
Wkrótce tam podążyła za nimi Klaudja, szczęśliwa z odzyskania córki, dziękując Bogu, że jej najgorętsze spełniło się pragnienie. Była świadkiem, jak sam arcybiskup pobłogosławił związek i złączył dłonie młodej pary, i patrzyła odtąd z radością na szczęśliwe pożycie Laurencjusza i Julji. A kiedy okrutny Maksencjusz, wypowiedziawszy wojnę Konstantynowi, pobity został i pod Pons Milvius w Tybrze utonął, cały świat chrześcijański i wszyscy szlachetnie myślący obywatele potężnego państwa rzymskiego odetchnęli swobodniej, jak gdyby ciężar przygniatający ich barki nagle z woli Bożej stoczył się wraz z nim w piekielne otchłanie.

KONIEC.



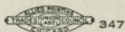
PULASKI

Hero of Two Continents



By Anthony F. Zaleski

(Reprinted from the book "Poles in America" Their Contribution to a Century of Progress).



PRINTED BY THE POLISH DAILY ZGDA
1406-08 W. DIVISION ST., CHICAGO, ILL.

Pulaski, Hero of Two Continents

By Anthony F. Zaleski

THE Celebrated Count Casimir Pulaski, better known to us in America as Brigadier General Casimir Pulaski of revolutionary fame, was born in Winiary, Poland, on March 4th, 1748. He was the eldest son of Count Joseph Pulaski, a venerable old man, who belonged to the Polish nobility. The father was the chief magistrate of Warech and was noted for his knowledge of jurisprudence.

General Casimir Pulaski was educated for the bar also, and received his early military training as a youth in the guard of Charles, Duke of Courland. He was in the castle of Mit-tau when it was besieged by 15,000 Russian soldiers.

In order better to appreciate the spirit which

animated General Pulaski, the activity and zeal in the defense of justice and human liberty which prompted him to come to a strange land, where he was unknown, and whose customs and language he did not understand, to fight for these cherished principles, it is fitting for us to refer to his part in the struggle for liberty in his native country.

Shameful Conspiracy of Russia, Prussia and Austria.

One of the foulest deeds ever recorded in history was the violent dismemberment of Poland by her three treacherous neighbors between 1772 to 1795. A nation then one-fifth larger than France in area, and containing a population of 20,000,000 people, was ruthlessly torn asunder, its people subjugated and politically annihilated under a sham pretext of preserving law and order in that country. This catastrophe did not come about all at once, but gradually through internal dissensions fomented by Poland's enemies and their intermeddling in the internal affairs of the Polish government, which was then a precocious

democracy surrounded by an insidious autocracy. Poland's system of electing kings and her famous constitution of May 3, 1791, of which Edmund Burke said, "It was the most pure . . . public good which has ever been conferred on mankind," were indications of her liberal and constructive government in that period.

Confederation of the Bar.

When Stanislaus Poniatowski, the puppet of Catherine of Russia, was elected by the Polish deputies under the impending threat of the Russian army who surrounded the Polish Diet at the time of the election, and he became a mere tool in her hands for the execution of her will in Poland, such patriotic and gallant Poles as Count Joseph Pulaski realized that it was time to arouse the spirit of their countrymen and to do the only honorable thing that a self-respecting person could do under the circumstances — resort to force to resist the calamity and humiliation at any cost. He was then about sixty years old, and he divulged to his three sons a plan conceived by himself and other nobles of the nation to forestall the enemies

of his country and form an organization to effect its rescue from the inevitable fate that it was headed for. Such an organization was created in the town of Bara in Podolia, about twenty miles from the Turkish border, and was known as the famous Confederation of the Bar.

Suffice it to say here that for four years, under the most trying conditions and the greatest adversity, this patriotic organization fought against overwhelming odds to oust the enemies of Poland, chiefly the Russians, from their country. But all their efforts proved fruitless. The aged Pulaski died in prison; one of General Pulaski's brothers was killed before his eyes, as he himself says, by the enemy; the youngest brother was taken into captivity; and many of his countrymen were doomed to misery.

General Casimir Pulaski, with whom we are concerned, was the leading spirit of his countrymen in this unequal struggle to preserve his nation intact. He fought bravely, tenaciously, with the unremitting zeal of a young man then but twenty-five years old. Heedless of his own safety, always leading his men into sallies

against the enemy, which was much more powerful than his poorly equipped army, and much larger in size, he made repeated stands against the Russians, especially at the famous monastery of Czestochowa, saved it in several occasions from prolonged sieges, and would probably have succeeded the last time had it not been for the assistance given the Russians by Frederick the Great of Prussia.

“Never was there a warrior,” says the historian Ruhlieri, “who possessed greater dexterity in every kind of service. Endowed by a peculiar gift of nature, strenghtened by exercise, he was always the first to charge in person, with an intrepidity which inspired his followers to imitate his example.” Benjamin Franklin, in introducing him to Washington, writes: “Count Pulaski, who was a General of the Confederates in Poland, and who is to join you, is esteemed one of the greatest officers in Europe.”

Casimir Pulaski not only lost his father and brothers in this glorious attempt to save Poland from the first of her ignoble partitions, but his estates were confiscated and he was proscribed by King Stanislaus and had to flee to Turkey.

Soon thereafter Russia, Prussia and Austria, in their zeal for the ostensible good of Poland, agreed to help themselves to large portions of her territory, and had the effrontery to convene the Polish Diet and under duress compel it to sanction the beginning of what Henry Wharton called "the most flagrant violation of national justice and international law which has occurred since Europe emerged from barbarism."

Pulaski's Memorable Manifesto.

Soon thereafter, in 1772, Count Casimir Pulaski issued his memorable manifesto, in which he said in part:

"I am not astonished that the enemies of my country, resolved on her ruin, should direct their shafts against those who most firmly resist their impetuosity, and that they should regard as such the brave Poles, whom they have sacrificed and who are still repelling their most cruel attacks. . . . My destiny was clear when, at the age of twenty-one, far from yielding to the amusements of youth, I regarded every moment as lost which was not employed

in repelling the enemies of my country. . . . I have endeavored to mark my course by an invincible fortitude. Neither the blood of one of my brothers, which was shed by the enemy before my eyes, nor the cruel servitude of another, nor the sad fate of so many of my relations and compatriots, has shaken my patriotism. . . . I believe I have proved, by four years' service, that I have not been influenced by interest of a false point of honor. . . . I declare before God, before the republic of Poland, and before all the powers of Europe, that my heart is an utter stranger to crime. It has never entered my imagination to attempt the life of any person to whom has been assigned, in any manner whatsoever, the government of the nation, or to avenge the wrongs of my country in any other way than that of open war."

Perhaps no better insight into the sturdy character of the illustrious Pulaski, known and revered both in Europe and America, could be given than the above excerpt from his manifesto. We are not surprised to hear a man of his lofty type later on, in August of 1779, state to the Continental Congress: "I could not sub-

mit to stoop before the sovereigns of Europe, so I came to hazard all for the freedom of America, and am desirous of passing the rest of my life in a country truly free and of settling as a citizen to fight for liberty.”

His Travels In Search For Action.

From Turkey Pulaski wended his way to Paris. “Across the Atlantic,” says Henry Williams, Esq., on the laying of the cornerstone of the monument to his memory at Savannah, on Oct. 11, 1853, “came to him the tidings that the people of another hemisphere had bid defiance to oppression and were arming for the struggle. The sound stirred the heart of Pulaski like the voice of a battle trumpet. It was a struggle for liberty. It was his cause, whoever the people and wherever the scene of conflict. Fate forbade him to achieve the independence of his own country, and true to the noble impulses of his soul, he came to aid in establishing that in America.”

“He saw,” says Jared Sparks, in his American Biography, “a new field opened for vindicating

with his sword the same principles, the same rights of mankind, the same unchangeable laws of justice, as those for which he had wielded it with so much courage and singleness of purpose in his own country.”

Benjamin Franklin writing from Paris to General Washington on May 29, 1777, says: “Count Pulaski, of Poland, an officer famous throughout Europe for his bravery and conduct in defense of the liberties of his country against the three great invading powers of Russia, Austria, and Prussia, will have the honor of delivering this into your Excellency’s hands.”

We can readily see and understand why men like General Pulaski and his famous countryman, General Kosciuszko, who also covered himself with undying glory in the Revolutionary War, were not soldiers of fortune, nor waifs thrown to the surface of troubled waters by the love of adventure and quest of money or emolument, no matter what the cause might be that they were fighting for. These men fought long and hard to establish the principles of liberty and justice on their own soil, they were imbued with this spirit in their own cause, for

their own country, and it was only natural that when they had given their best for these sacred ideals without success against tyrants and intriguing despoilers of humanity, they should hear the shot fired at Lexington that was "heard round the world" with an eager ear, and should be willing to come to a foreign strand, although they neither understood the language nor were familiar with the customs of this strange people on another continent. The principles of human liberty and justice are essentially the same in every clime and they were eager to resist a mighty empire that was trying to wrest them from a struggling people, a people whose slogan was "Give me Liberty or give me Death."

Like his famous compatriot, General Kosciuszko, who when he appeared before Washington, and was asked by him what he could do, answered in a quiet way, "Try me and see," Pulaski did not wait for any appointment from Congress, but on hearing that the enemy was attacking Washington's forces, hastened to join them as a volunteer.

On August 25, 1777, Pulaski addressed a communication to John Hancock, President of Congress, which is his first letter in English: In it he states:

“I Have Dought it not my Duty to stay here any longer, in as much as I have hear: that his Exy Genl. Washinkton is gon to meet the enemy; wherefore I will go to the Army, it is I can not do much, but Hover I will shew my good will.”

His Arrival In America.

General Pulaski landed in America about the middle of July, 1777, and after presenting his letters to Washington and Congress, waited for Congress to take action. But restless and eager to aid our cause as he was, he did not wait for official cognizance. Captain Bentalou, an able officer who fought under Pulaski until he died and was wounded along with Pulaski at Savannah, Ga., writes:

“The inherent ardor of his warlike spirit, his habits of activity, and the desire of efficiency serving the cause which he had so warmly embraced did not permit him to wait for the de-

cision of Congress on his application—but he immediately joined the army.”

It so happened that General Pulaski and his friend, the Marquis de Lafayette, another distinguished officer, struck their first blows for American Independence at the battle of Brandywine on Sept. 11, 1777. Washington was bent at this time on opposing the advance of General Howe’s army northward towards Philadelphia. At Brandywine Washington’s Army was repulsed, and a large part of it might have been captured had it not been for the masterly aid given by Pulaski at the head of a cavalry squad, who delayed the progress of the British and thus enabled the army of Washington to retreat in an orderly way and to save their baggage.

An Excellent Act of a Volunteer and an Appointment.

In describing Pulaski’s activities at this battle Jared Sparks states:

“At Brandywine Pulaski, as well as Lafayette, was destined to strike his first blow in the defense of American Liberty. Being a volunteer and without command, he was stationed near

General Washington till towards the close of the action, when he asked the command of the General's body guard, about thirty horse, and advanced rapidly within pistol shot of the enemy, and, after reconnoitering their movements, returned and reported that they were endeavoring to cut off the line of retreat and particularly the train of baggage. He was then authorized to collect as many of the scattered troops as came in his way, and employ them according to his discretion, which he did in a manner so prompt and bold as to effect an important service in the retreat of the army, fully sustaining by his conduct and courage the reputation for which the world had given him credit. Four days after this event he was appointed by Congress to the command of the cavalry, with the rank of Brigadier General."

The historian Ramsay says:

"At Brandywine Pulaski was a thunderbolt of war, and always sought the post of danger as the post of honor."

When Congress on Sept. 15, 1777, elected Pulaski "Commander of the Horse with the rank

of Brigadier," he became the highest ranking officer of the cavalry, and had under his command four regiments of cavalry, under the immediate commands of Colonels Bland, Baylor, Moyland and Sheldon. It must be said that during the early part of the Revolutionary War the cavalry did not take much of a part in the warfare, that the Colonists did not seem to realize the importance of this unit, said to be the "eye of the army," and did not know much about opposing cavalry attacks successfully. Until the advent of Pulaski the highest rank the cavalry division had was that of colonel, and such regiments as did exist were not able to do much, for the reason that they were often scattered on detail and reconnoitering work for the generals and the army; and besides, there was not so much open warfare being conducted.

Pulaski was a great horseman; he believed in a strong cavalry, and was experienced in cavalry fighting from his warfare carried in Poland. Dissatisfied with what he considered the deplorable condition of the American cavalry, which prevented him from doing effective

work on a large scale, he continually urged Washington and Congress to strengthen this branch of the army. He drew up and presented to Washington several plans for its reorganization, made various estimates and regulations, and was strong for disciplining his men and horses. Always restless and active, he wanted to be in the thick of the battle and produce results.

In his memorial to Washington of Dec. 19, 1777, Pulaski advances a cogent argument for the building up of the cavalry, which must appeal to every thinking person:

Urging George Washington to Strengthen His Cavalry.

“The advantages that would arise from a Superiority in Cavalry are too obvious to be unnoticed. It may be further observed that during this War the Country will daily become more open and clear of woods and fences, consequently better adapted to the manœuvres and service of the Cavalry. While we are Superior in Cavalry, the enemy will not dare to extend their force, and, notwithstanding we are on the

defensive, we shall have many Opportunity of attacking and destroying the enemy by degrees, whereas if they have in their power to augment their Cavalry, and we suffer ours to diminish and dwindle away, it may happen that the loss of a Battle will terminate in our total defeat. Our army once dispersed and pursued by their horse will never be able to rally; thus our retreat may only be cut off, our baggage lost, and principal officers taken, and many other events occur not less fatal.

“Your excellency may be assured that the good of the service is my constant study, but the Weak State of the Corps I Command renders it imposible to perform every service required. Nay my reputation is exposed, as being an entire stranger in the country the least accident would suffice to injure me, but notwithstanding, I cannot avoid hazarding everything that is valuable in life.”

Pulaski's Service at Warren Tavern and in Germantown Battle.

After the battle of Brandywine General Pulaski saved the army of Washington from a sud-

den surprise that might have proven fatal at Warren Tavern on Sept. 16, 1777. At the head of his cavalry, while reconnoitering he came upon a whole army of the British near Warren Tavern. He harrassed the enemy, thus impeding their progress, and hastily gave the information to Washington, who then prepared to meet the enemy. He also was in the battle of Germantown, and spent the winter at Trenton.

Washington spent the winter with the army at Valley Forge. There was a great scarcity of food for the men and forage for the horses, and Washington ordered General Anthony Wayne and Pulaski to go to Haddonfield, near Camden, to look for supplies in that part of the country. The British upon learning of this fact sent a force of 1,200 men to capture either Wayne or Pulaski.

The opposing forces met at Haddonfield. Pulaski at the head of his little troop of cavalry was everywhere alert, charging the enemy with spirit and effect. His own horse was shot from under him, and he personally took seven prisoners. General Wayne in making his report of

the battle praised Pulaski very highly, saying that he "behaved with his usual bravery."

Pulaski Legion.

However, still dissatisfied with the condition of the cavalry of which he was in command, and with the fact that his pleas for the reorganization and strengthening of the same were apparently unnoticed, and feeling the lack of cooperation from his officers, who did not like to be subjected to the authority of foreigner, Pulaski resigned his command in the early part of March, 1778, and asked Washington and Congress to give him leave to organize an independent corps, known later as the famous "Pulaski Legion." Congress, upon the recommendation of Washington, resolved on March 19th that an independent corps be established by Count Pulaski, consisting of 68 horse with lances and 200 light infantry, and that he retain the rank of Brigadier General. By October of that year he had recruited 330 men for his legion. "The scheme of independent legions," says Sparks, "seems to have been first suggested by Pulaski; and it proved of the greatest importance in the

subsequent operations of the war, and above all in the southern campaigns. Lee's and Armand's legions were formed upon a similar plan."

While on a visit to Bethlehem, Pa., in April of 1778 Pulaski asked the Moravian nuns, whose convent was located there, to make a special banner for his legion. This was done, and the banner delivered about May, when he again was there. Longfellow has immortalized the making and the presentation of the banner in his "Hymn of the Moravian Nuns at the Consecration of Pulaski's Banner," but according to information received from the Pennsylvania Archives, (Pa. in Rev. II) and other sources, the transaction was simply a business affair, and the flag was paid for by Pulaski. Subsequently it was presented to the Maryland Historical Society.

The contention that it was purchased and paid for by Pulaski is supported by the information that he spent his own money to help equip his legion. In his address to Congress on Sept. 17, 1778, he states: ". . . I have expended sixteen thousand dollars at least of my own." And again in his memorable letter of August

19, 1779, to Congress, reproaching Congress for its lack of appreciation for his services and efforts, he says: “. . . you must be sensible also, that I did not Come to America destitute of Resources, to be a burthen on you; That I have a Letter of Credit on Mr. Moris; and that I was known by almost Every foreigner of Character.” It is estimated that Pulaski advanced \$50,000 of his own money in forming and equipping his legion.

The Pulaski legion saw action at Egg Harbor, N. J., on Oct. 15, 1778, where it repulsed a surprise attack on the infantry under the command of De Bosen, who was betrayed by a traitor of the name of Juliet, and also at Osborn's Island, where the legion drove back the enemy in confusion, but was checked after a bridge had been destroyed by the retreating foe.

The Pulaski Legion spent the winter around Minisink in New Jersey, where the hostile attitude of the Tories and Indians required their presence for the protection of the frontiers, and on Feb. 2, 1779, Congress resolved that Count Pulaski march with his Legion to South Carolina to join General Lincoln, then in com-

mand of the southern campaign. Congress also made provision for enlarging the corps.

In pursuance to the resolution of Congress that he march south, Pulaski with part of his force reached Charleston on May 8th. Three days later the remainder of the legion arrived. On his way to Charleston Pulaski heard that General Provost of the British forces was coming up from Georgia. On the 11th the latter crossed the Ashley River at the head of 900 men, and scarcely had he landed when Pulaski made an assault upon the advance lines. He kept up a sharp skirmish, but was finally forced to retreat on account of the superior numbers of the enemy. He then planned on drawing the enemy into an ambuscade, but his infantry, eager to get into action, gave his strategy away. Sparks says: "His coolness, courage, and disregard of personal danger were conspicuous throughout the encounter, and the example of his prompt and bold attack had great influence in raising the spirits of the people and inspiring the confidence of the inexperienced troops then assembled in the city."

Forced Retreat of Gen. Provost.

Pulaski by appearing before the Governor and Council of Charleston, who were ready to capitulate and surrender the city to the British, by his plea and advice, ably assisted by General Moultrie and Colonel Laurens, persuaded them to reject any offer of submission, and the same night General Provost, who had heard that General Lincoln was marching to Charleston with 4,000 men, retreated across the river.

Savannah, Ga., was a stronghold of the British, and it was the intention of General Lincoln to besiege the city and drive the enemy away. On the 3rd of September, he received information that Count d'Estaing was off the coast with a large fleet and that he would join General Lincoln in an attack upon the city. The latter left Charleston with his army for Savannah, and Count Pulaski and General McIntosh were sent ahead of the main army to attack and harass the British outposts. Pulaski dispersed a detachment of British at Ebenezer with his dragoons, and likewise was sent by General Lincoln to attack a party of the British that

had come up the Ogechee River and landed below the ferry. He suddenly fell upon the enemy, forcing them to retreat and taking a number of prisoners.

Battle at Savannah.

The armies of the French under d'Estaing and the American forces came together at Savannah about the 16th of September. A siege was begun, but the enemy was strongly entrenched and refused to give ground. Finally, becoming weary of the prolonged siege and fearing for the safety of his vessels, Count d'Estaing requested that the city be attacked by storm. General Lincoln consented to this plan with some hesitation, believing that if the siege were kept up the enemy would be forced to surrender or to evacuate the city.

On October 9th the order was given out that the ramparts of the British were to be taken by storm. The plan of the assault had been carefully gone over, and orders were issued as to the manner of attack and the points to be assailed. The cavalry of the French and American was under the command of Pulaski, and he

was to charge the embattlements, following up the infantry, who were to storm the right of the British lines.

The attack was made as planned as to time and the center of attack, but a soldier who deserted the American forces after the scheme and order were given out informed the enemy, who massed their troops at the points of expected attack, and by a deadly, galling fire, repulsed the assailants. Count d'Estaing, instead of taking a circuitious road to get to his point of attack, endeavored to cross directly over a swamp. He was caught between a deadly cross fire, and havoc was wrought among his men.

Pulaski Mortally Wounded.

Pulaski, seeing the apparent confusion and realizing that all was not well, drove up at the head of his calvary to where the French were, to reinforce and encourage them, thinking that he might be able to get to the rear of the enemy through some opening. Dashing madly ahead into a withering flame of shot and shell, he himself was struck in the groin by a swivel shot

and fell from his horse mortally wounded, to be picked up later and carried away. Count d'Estaing was also wounded.

Major Rogowski, one of Pulaski's officers and also a Pole, who was in the heroic charge, states in his description of the battle:

“For half an hour the guns roared and blood flowed abundantly. . . . Imploring the help of the Almighty, Pulaski shouted to his men forward, and we, two hundred strong, rode at full speed after him—the earth resounding under the hoofs of our chargers. For the first two moments all went well. We sped like knights into the peril. Just, however, as we passed the gap between the two batteries, a cross fire, like a pouring shower, confused our ranks. I looked arund. Oh! sad moment, ever to be remembered, Pulaski lies prostrate on the ground.”

Pulaski's Death and a Watery Grave.

Pulaski was carried away by his soldiers and placed on the American brig *Wasp*, and put under the care of skilled French surgeons, who vainly endeavored to remove the bullet and

save him. Gangrene had set in, and as the ship pulled out of the harbor for Charleston, Pulaski expired, and the stench from his wounds was so bad that he was deposited in a watery grave on the 11th day of October, 1779, at the age of 31 years.

When the Wasp pulled into the harbor of Charleston with her flag flying at half mast and it became known that the gallant Pulaski was dead, the city took on an aspect of general mourning. The Governor, the Council of the State and the citizens united to pay tribute to their youthful defender, who shortly before by his bravery and advice had saved them from an ignominious surrender. Resolutions were passed, public ceremonies were held, and a day was designated for the holding of his funeral obsequies. Three French and three American officers carried his bier, followed by the horse that Pulaski rode, with all the trappings, armor and dress that he wore. The procession was large and imposing, and a chaplain of the army delivered a fervid eulogy over the departed officer. Congress, on being apprised of Pulaski's

death, resolved "that a monument be erected to the memory of Brigadier Count Pulaski."

Thus ended the brilliant career of the illustrious and gallant officer, a heroic figure on two continents, who had written to Col. R. H. Lee on August 13, 1778: "Honor and true desire of distinguishing myself in defense of Liberty was the only motive which fired my breast for the cause of the United States," and who had written to Congress on September 17, 1778 "I am a Republican whom the love of glory and the honor of supporting the Liberty of the Union drew hither."

Honored by the Citizens of Savannah and U. S. Congress.

The citizens of Savannah, Ga., erected a monument to the memory of Pulaski in Monterey Square, which was completed in 1854. The resolution of the Continental Congress providing that a monument be erected to his memory was not carried out until 1910, when the 57th Congress of the United States provided for the erection of a bronze equestrian statue in Washington at a cost of \$50,000. This monument, to-

gether with one erected by the Polish National Alliance of America in memory of Thaddeus Kosciuszko, was unveiled during the month of May, 1910.

The Honorable A. L. Brick, who appeared before the Committee in Congress urging the erection of the monument in Washington, said:

“Pulaski died as he had lived, a noble and undaunted warrior, fighting the battles of Liberty and of the Republic. . . . He sacrificed himself, all the years of his young life, his fortune, his ancestral dignity, his lofty spirit, his splendid genius, and all his earthly hopes, for Liberty, Justice and Humanity. For these things he gave all he had—his martyred life.”

Document of American Military Historian.

In the American Military Biography containing the lives and characters of the officers of the Revolution who distinguished themselves in achieving our national independence, the author says: “Perhaps a braver man than Pulaski never drew a sword,” and in describing his death at Savannah, “Thus fell, in a most

bold and daring achievement, the distinguished Polish patriot and hero, in the cause of American Liberty; his memory is entitled to our veneration, as his life forms an item in the price of our Independence."

It is only proper and just that America and grateful people enjoying the blessings of liberty, peace and prosperity should recall the life of this great man and pay tribute to his valor and chivalry. He left the Old World and came to this continent to help establish, as the immortal Lincoln said, "a new nation, dedicated to the proposition that all men are created equal." He gave his last full measure of devotion to that cause, and four millions of his countrymen residing in the United States rejoice with the American nation, of which they are a part, that Pulaski and that other illustrious Polish patriot, Thaddeus Kosciuszko, and other distinguished men of Polish blood stood by the cradle of American Independence and helped to lay the foundation for a new government in the New World, dedicated to the principles of human liberty and justice.

